

W numerze: JERZY URBANKIEWICZ ...w sprawie ochrony środowiska ● **BOGDA MADEJ Koncert dla głuchych** ● **ZOFIA TARNOWSKA Kupię części zamienne** ● **JANUSZ SKOSZKIEWICZ Było lato...**
● **Recenzje** ● **Nowela kryminalna**

odgłosy



36 (772)

3. IX. 1972 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

Znaczący jest w polskim szkolnictwie rok 1972. Najpierw VI Zjazd naszej partii podkreślił konieczność usprawnienia systemu wychowawczego oraz podnoszenia na wyższy poziom pracy szkół wszystkich typów i stopni, a wstępem do praktycznej realizacji tych zadań stała się uchwalona przez Sejm PRL „Karta praw i obowiązków nauczyciela”.

Dalszymi etapami doskonalenia naszego szkolnictwa staną się — opublikowany jesienią bieżącego roku raport Komitetu Ekspertów o stanie oświaty i planowane na rok przyszły opracowanie nowego modelu systemu oświatowego w Polsce.

Ministerstwo Oświaty i Wychowania opracowało wszechstronny program działań, akceptowany przez Biuro Polityczne i rząd, w którym określa najważniejsze zadania i problemy, jakie stoją przed szkołą.

Obok konieczności wyrównania pracy szkół wszystkich typów, reformy nauczania początkowego, opracowania koncepcji, zasad i form kształcenia młodzieży wykazującej szczególne uzdolnienia, program bardzo mocno podkreśla sprawy związane z ustaleniem pro-

gramów, metod i rozwiązań instytucjonalnych wychowania ideologicznego młodzieży, konieczność zintensyfikowania tej sfery działalności szkoły i nauczyciela, która odnosi się do kształtowania przekonań ideowych i postaw z tym związanych.

W minionym roku szkolnym miałem możliwość obserwowania pracy 60 szkół ogólnokształcących podstawowych i liceów oraz zawodowych pracujących na terenie Bałut.

W trakcie tych obserwacji rodziło się szereg pytań. Dlaczego z dwóch szkół dysponujących podobnymi zes-

W szerokim gronie słuchających opowiadała doświadczona nauczycielka jednego z liceów, że młodzieży z klasy maturalnej na lekcji wychowania obywatelskiego zadano pytanie, jak widzi ona realizację swych życiowych dążeń i aspiracji, czy zostaną one zrealizowane. Dlaczego odpowiedzi były negatywne? Z jakimi przekonaniami wejda w życie dorosłe, samodzielne, młodzi ludzie, absolwenci szkół?

Partia i rząd zagwarantowały zabezpieczenie realizacji potrzeb szkoły i nauczycieli, między innymi nastąpiła regulacja plac nauczy-

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stajemy przed doniosłą próbą — egzaminem pracy i umiejętnością dźwignięcia ojczyzny na wyższy stopień rozwoju.

Ten egzamin nasza młodzież musi zdać.

Współczesny patriotyzm to taki zespół motywacji ideowych, które wyzwalają wyteżoną i ofiarną pracę dla ojczyzny, to nie tylko hold przeszłości, ale przede wszystkim wysiłek włożony w realizację zadań, od których zależy wszechstronny i nowoczesny rozwój Polski, od których zależy pomyślność każdego z nas. Miernikiem wartości każdego człowieka musi być jego stosunek do pracy, jego aktywność zawodowa i obywatelska.

Ambicją zawodową każdego nauczyciela i wychowawcy musi być wychowywanie człowieka wszechstronnie rozwiniętego, pełnego twórczej inwencji i konstruktywnego niezadowolenia z tego co dokonał, pracującego ofiarnie i uczestniczącego we wszystkich sprawach swej socjalistycznej ojczyzny.

Potrzebne jest spojrzenie szersze, wybiegające w przyszłość, mikroproblemy w rodzaju będą kappie lub nie będą, nie mogą przesłonić szkole i nauczycielom pracy dla przyszłości.

Armia, która dążyła do zwycięstwa i zwyciężyła nie ciągnęła za sobą nadmiernie rozbudowanych taborów. Armia światłych pedagogów zaangażowanych w wychowanie młodego pokolenia w duchu socjalizmu i nowoczesności musi odrzucić tabory oportunistów, jałowej poprawności, biurokracji, minimalizmu. Tylko wtedy uda się wygrać batalię o przyszły kształt socjalistycznej Polski, batalię, która toczy się również w murach szkolnych. Jej kolejny etap rozpocznie się wraz z pierwszym dzwonkiem wzywającym dzieci i młodzież na lekcję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Artysta i przemysł

Artysty plastycy stanowią najliczniejsze i najsilniejsze środowiska twórczych w Łodzi. Do łódzkiego oddziału ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW należy 621 osób, w tym 53 z województwa łódzkiego. Pod względem liczebności jest to trzecie w skali kraju środowisko plastyczne, po Warszawie i Krakowie. Cechą charakterystyczną, wyróżniającą go spośród innych środowisk plastycznych kraju, jest niezwykle liczna sekcja projektantów przemysłowych, do której należy 325 artystów. Sekcja malarska liczy 96 osób i jest drugą pod względem liczebności, a trzecie miejsce zajmuje sekcja grafiki, do której należy 85 osób.

235 osób pracuje na pełnych etatach, w tym 122 osoby w przemyśle włókienniczym, 54 w szkolnictwie i 59 w różnych innych instytucjach. Co roku około 40 osób opuszcza PAŃSTWOWĄ WYŻSZĄ SZKOLĘ SZTUK PLASTYCZNYCH w Łodzi, posiadając dyplom upoważniający je do zajmowania się projektowaniem przemysłowym. Niektórzy

jednak nie znajdują pracy zgodnie z osiągniętymi kwalifikacjami, mimo, że w całym polskim przemyśle lekcyjnym pracuje przeszło 500 projektantów i wiele zakładów tego przemysłu chętnie zaangażowałoby plastyków. Przytoczone powyżej liczby nie oddają jednak w pełni społecznej sytuacji projektantów, a pokazują jedynie rozmiary problemu. Gdybym chciał lapidarnie określić istotę sytuacji, w jakiej obecnie znaleźli się projektanci przemysłu lekcyjnego, bo o nich tu głównie chodzi, to mógłbym to określić jako poczucie niepełnej użyteczności. Aby jednak zrozumieć, jak do tego doszło, trzeba co najmniej nieco w czasie.

ARTYSTA WKRACA DO PRZEMYSŁU

Przed wojną, kiedy przemysł włókienniczy był znacznie rozdrobniony i nie mieliśmy jeszcze ani przemysłu odzieżowego i obu-

Dalszy ciąg na str. 4

GRZEGORZ MATUSZAK

Przed pierwszym dzwonkiem

połami pod względem kwalifikacji, podobnymi warunkami lokalowymi i młodzieżą z tego samego środowiska w jednej nauczanie i wychowanie może być sztuką, a w drugiej ledwo rzemieślniczą poprawnością?

Dlatego w jednej może być estetyczne wnętrze, dobre pracująca organizacja młodzieżowa, różnorodne formy pracy pozalekcyjnej a w innej gołe, przybrudzone ściany, w sprawozdaniach praca z młodzieżą a w rzeczywistości ok. 15—16 pustki w szkole i na boisku? Dlaczego uczniowie z jednej szkoły zwyciężają w olimpiadach i konkursach a z innej odpadają w pierwszych eliminacjach? Jak w ogólnym kształtowaniu osobowości ucznia, w praktyce wychowawczej wygląda przyswajanie przez młodzież idealów socjalizmu?

cielskich. Teraz oczekuje się wyteżonej pracy szkoły, a wiele jeszcze zostało do zrobienia. Radykalnego rozwiązania wymaga problem wychowania moralnego i etycznego w aspekcie moralności pracy i etyki zawodowej. Kształtowania świadomej dyscypliny społecznej i przekonania, że nie ma praw i przywilejów bez obowiązków, nie ma wolności bez odpowiedzialności, że nie wystarczy czerpać korzyści od społeczeństwa, ale trzeba także dawać swoją pracę.

W pewnych kręgach młodych ludzi narosły postawy wyłącznie konsumpcyjne i zadaniem mądrych pedagogów jest wpoić przekonanie, że nie tylko prawa i potrzeby ludzi oraz zobowiązania państwa się liczą, ale także obowiązki obywatela i jego odpowiedzialność za sprawy społeczne.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Jeszcze raz w sprawie lewych worów

W styczniu „POLITYKA” wydrukowała mój reportaż o Zdzisławie Pisarkowej, która pracowała kiedyś w piotrkowskich Zakładach Zbożowo-Młynarskich jako dozorczyń i przez kilka lat w

imię wyższych racji toczyła z tym przedsiębiorstwem ostro boje.

Wydawało się, że sprawa jest prosta. Krzywdą Pisarkowej — ustąpiła pod naporem szykan pozostając bez środków do życia —

ewidentna. Wysuwane przez nią zarzuty — machlojki z workami — namacalne.

Przebież parokrotnie wkraczała do akcji milicja i prokuratura, badając przyczyny, dla których już po raz drugi piotrkowskie młyny zakończyły roczny plan tzw. brakiem rozliczenia, co sugestywnie podpierało tezę Pisarkowej o szeregach się w zakładach złodziejstwie. Przebież w tydzień po mojej pierwszej zimowej wizycie w Piotrkowie Pisarkowa otrzymała nieoczekiwane list od Naczelnego Dyrektora Centrali Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego w Warszawie (najwyższa branżowa instancja), gdzie było m. in.:

„Część podanych przez Obywatelkę spraw, dotyczących np. usiłowania kradzieży w dn. 12. XII. 1969 r. 3 worków przetworów, nieprawidłowości przyjęcia pszenicy w dn. 23. XI. i 11. XII. 1970 r., stwierdzonych w dniach 15 i 23. XII. 1970 r. braków worków jutowych, wykonania w dn. 24. XII. 1970 r. kontroli zabezpieczenia zakładu przez pracownika w stanie nietrzeźwym, została w toku przeprowadzonych badań potwierdzona”.

Myślałem więc: coś się zmieni, Komuś oddadzą sprawiedliwość.

Tymczasem w dwa miesiące od chwili ukazania się reportażu Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego w Łodzi nadeszło do redakcji ośmiostronicowe pismo, które zachwiało moją wiarę w praworządność. Owszem, były tam pod naszym adresem komplementy: „Spowodowana tym artykułem reakcja załogi stworzyła warunki do szerszego omówienia występujących jeszcze w działalności zakładów nieprawidłowości i uchybień”, jednakże z drugiej strony poczułem się wystrychnięty na dudka widząc, że cały przewód w kategoriach sposobu rozprawy się z materiałem dowodowym: Pisarkowa przedstawiono w czarnym świetle, natomiast piotrkowskie młyny odzyskały jasną twarz.

Odpór — trzymam się dostownie tekstu — wygląda w streszczeniu tak:

„Szczegółowa analiza dokumentacji źródłowej nie wykazała, by nieodzyskanie w procesie produkcyjnym przyrostu masy z tytułu nawilżania zboża i brak 303 szt. worków spowodowane zostało za-

borem mienia przez określone osoby”.

„W dokumentacji młyna za rok 1969 nie stwierdzono dowodu wydania przetworów, na którym magazynier rzekomo podpisał 10 worków mąki uprzednio załadowanych na samochód poza ilością uwidocznoną już w tym dowodzie”.

„Nie potwierdza się informacja jakoby w dniu 21. XI. 1970 r. magazynier młyna nr 1 przyjął do młyna 200 kg pszenicy bez uwidocznienia tego faktu w dowodzie dostawcy, bowiem takiego transportu w tym dniu w ogóle nie było”.

„Nie potwierdza się informacja jakoby w dniu 11. XII. 1970 r. magazynier młyna nr 1 zmuszał ob. Z. Pisarkę do przerobienia zapisów w książce ważenia zboża na wadze wozowej”.

Te dwie ostatnie negacje przypisały mi w osłupienie. No bo w tym momencie Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego w Łodzi podjęło polemikę nie tylko ze mną,

Dalszy ciąg na str. 3



W sobotę rozpoczęły się XX Igrzyska Olimpijskie. Bierze w nich udział pon. 8 tys. zawodników ze 122 krajów. Niewiele jednak brakowało, by liczby te były znacznie mniejsze a na starcie zabrakło kilku reprezentacji. Kraje afrykańskie bowiem wystąpiły przeciwko udziałowi w olimpiadzie ekipy Rodezji — kraju, w którym w otwartej formie szerzy się rasizm — i zagroziły bojkotem igrzysk. Międzynarodowy Komitet Olimpijski ponownie rozważył sprawę i tuż przed otwarciem igrzysk powziął słuszą decyzję o cofnięciu zaproszenia. Sportowcy Rodezji pozostaną jednak w Monachium jako obserwatorzy, gdyż NRF pośpiesznie zaofiarowała im bezpłatną gościnę. Tak to epizod rodezjski, zanim jeszcze zapłonął znicz olimpijski a prezydent Heinemann wypowiedział tradycyjną formułę otwarcia igrzysk, splótł je z walką przeciw dyskryminacji rasowej, która niestety w świecie XX wieku tu i tam ma jeszcze miejsce. Oderwijmy jednak Czytelników od olimpiady, która nie szczędzi sportowych emocji, by porozmawiać o problemach politycznych na scenie międzynarodowej.

Oto w amerykańskiej kuracyjnej miejscowości — Miami Beach odbyła się krajowa konwencja partii republikańskiej. Jak było do przewidzenia — konwencja okazała się czczą formalnością. Nixon niemal jednomyślnie (jeden głos minus) wybrany został kandydatem partii na prezydenta w listopadowych wyborach. W jego karierze polityka piąta to już rekomendacja (na prezydenta i wiceprezydenta), żadna jednak nie przebiegała w takiej atmosferze, jak obecna. Korespondenci donoszą z USA, że wystąpienia na konwencji wyłącznie wychwalały Nixona, były panegirykami na jego cześć. Taka reżyseria konwencji miała wykazać, że Nixon jest murem w murawianym kandydacie i listopadowe wybory nie mogą nie przynieść jego zwycięstwa.

Zaraz po decyzji partii ubiegający się o drugą prezydenturę Nixon rozpoczął kampanię, odwiedzając różne stany i wygłaszając liczne przemówienia. Ostro zaatakował w nich konkurenta z partii demokratycznej za jego propozycję redukcji budżetu wojskowego, zgłoszoną — jak się wyraził — „pod fałszywym pozorem dokonywania oszczędności”. Ten kierunek ataku w pierwszych przedwyborczych przemówieniach sugeruje, że osi kampanii Nixona przeciwko McGovernowi będzie tzw. problem bezpieczeństwa narodowego.

W tym samym czasie kandydat partii demokratycznej głosił:

„Słyszeliśmy znowu o kontroli zbrojeń, ale jest to nixonowska kontrola zbrojeń... Nadszedł czas, aby przestać wydawać pieniądze na zabijanie dzieci w Azji i zacząć przeznaczać te fundusze na nauczanie dzieci amerykańskich. Nadszedł czas, aby zaprzestać niszczenia tam i zapór wodnych w Wietnamie i by odbudować szkoły, zniszczone przez huragan w USA”.

Słowa te McGovern wypowiedział w Zrzeszeniu Nauczycieli, które natychmiast obiecało wpłacić na jego fundusz wyborczy 250 tys. dolarów. Rzecz może nie byłaby godna odnotowania, gdyby nie to, że Zrzeszenie nigdy dotąd nie popierało żadnego kandydata na prezydenta.

Ale też problem wydatków na zbrojenie stanowi obecnie jeden z najistotniejszych. Sierpniowy numer biuletynu Departamentu Stanu podaje, że od czasu zakończenia II wojny światowej USA wydały ponad 2 tys. miliardów dolarów na cele militarne i że suma ta wynosi w bież. roku 80 mld dol., czyli ponad 8 proc. produktu narodowego brutto. Hasła McGoverna mają więc również uzasadnienie ekonomiczne i trafiają w wielu wypadkach na podatny grunt w społeczeństwie amerykańskim.

Z kontynentu amerykańskiego przenieśmy się do Europy, aby przede wszystkim odnotować ostateczne załamanie się tzw. doktryny Hallsteina. Doktryna ta, której twórcą jest ponad 70 lat liczący polityk i prawnik boński, głosiła, że NRF nie będzie utrzymywać stosunków z państwami, uznającymi NRD. Walter Hallstein właśnie wycofał się z życia publicznego, a dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie Finlandia i Szwajcaria wyraziły gotowość znormalizowania stosunków z NRD. Tak więc z pewnością wydłuży się lista krajów, w których niemieckie państwo demokratyczne będzie miało swoich przedstawicieli. Obecnie NRD ma 29 przedstawicieli za granicą w randze ambasad i drugie tyle przedsiębiorstw handlowych i konsularnych. Na przykładzie gotowości Finlandii i Szwajcarii widać, jak słuszną jest propozycja krajów socjalistycznych, aby oba państwa niemieckie wprowadzić do ONZ.

Przegląd wydarzeń rozpoczęliśmy akcentem sportowym — miejscem zaś pasjonującej rozgrywki o szachowe mistrzostwo świata jest Rejkjavik. Zakończmy go zatem uwagą, że Islandia w najbliższym czasie może być powszechnym obiektem zainteresowania nie tylko z powodu meczu Fischer — Spasski. Chodzi tu oczywiście o tzw. wojnę dorszową.

Islandia podała ostatnio do wiadomości, że zdecydowana jest od 1 września rozszerzyć przybrzeżną strefę rybolowstwa z 12 do 50 mil. Wznowi to na pewno „wojnę dorszową” z W. Brytanią, która trwała w latach 1958—61. Prasa amerykańska jest pełna obaw, jaki będzie finał tej wojny — czy w jej rezultacie nie zostanie zagrożona baza NATO w Islandii, obsadzona wojskami amerykańskimi. Dziś bowiem interesy gospodarcze i polityczne bardzo często się przeplatają.

W. SŁAWSKI

ROMAN ŁOBODA 1919-1972

Zgoda na świat nie oznacza pogodzenia ze światem.

„Nim uśniesz odmierz dal i drogi ziemskiej tor.”

Dziś wypowiedziane tu słowa nabierają tragicznego uogólnienia, są bowiem testamentem. Nasz redakcyjny kolega Roman Łoboda nie żyje. I chociaż nie istnieje śmierć, do której można by się przyzwyczaić, ta zaskakuje szczególnie. Przyszła nagle, nieoczekiwanie, na szosie. A przecież, jak sam to powiedział:

Nim uśniesz wstrzymaj ruch wskazówki na tarczach zegarów.

Jego droga do literatury nie była prosta, tyle że była świadoma. Zadebiutował przecież późno, jako człowiek już czterdziestoletni, tomikiem wierszy „Szósty smak”. Pamiętamy tę książkę, może dlatego, że było w niej kilka wierszy wielkiej urody, a może dlatego, że debiut Łobody to była jednocześnie nasza literacka młodość. A tamten debiut był startem dojrzałym, był dokonaniem.

Równie ambitnie starał się Łoboda zrealizować swoje powołanie w prozie. Powieści „Podwójny rozdział”, „Korzenie obok rzeki” i tom opowiadań „Skoki”. Ale dla naszego pokolenia, był i pozostał przede wszystkim poetą. Nie tylko autorem tomów wierszy „Wspomnienie drzewa” i „Okragły sen”

aż po wydane w roku bieżącym „Rzeźbienie horyzontu”, ale pisarzem, którego utwory zna się i pamięta.

Chyba właśnie te wiersze zbliżyły nas bardziej, niż osobista znajomość i praca w redakcji, gdzie kierował działem literackim. To, że dziś musimy o tym mówić w czasie przeszłym, jest dla nas szczególnie przykre, bo przecież, kiedy wyjeżdżał na urlop pełen był ambitnych planów, które już nigdy nie zostaną zrealizowane. Jeszcze tylko w najbliższych dniach ukaże się książka



którą opracował redaktorsko, kolejny tom „Rzeczy poetyckiej” pt. „Festiwałe”. Te Ogólnopolskie Festiwałe Poezji, w których miał

swój znaczny udział jako współorganizator. Literatura nie ograniczała go, ale mu nie wystarczała, miał bowiem coś, co można by określić jako społeczny temperament i chętnie podejmował inicjatywy w zakresie organizowania życia kulturalnego w Łodzi. W tej Łodzi, do której zresztą przyjechał późno, najpierw jako student Akademii Medycznej, a potem po raz wtóry, z Ziemi Zachodnich, dokonując ostatecznego wyboru.

Ale, jak już wspomnieliśmy, był szczodry, jako działacz Związku Literatów Polskich i jako krytyk teatralny. Przez pewien przecięt czas kierował w Łodzi „Sceną Propozycji” eksperymentalnym teatrem, w którym podejmowano próby odnowienia sztuki teatralnej, a także, w atmosferze dyskusji i sporów, ulatwiano starty literackie młodszemu, debiutującemu dopiero kolegom. I chyba tamto doświadczenie zwróciło jego uwagę na możliwości teatru radiowego, w którym już ostatnio odniósł spory sukces zdobywając I nagrodę w konkursie na sluchowisko radiowe. Ta nieoczekiwana śmierć Romana Łobody przecięła ambitną drogę twórczych realizacji.

Odszedł, to wiemy, niepokodzony, młody. Nam też trudno pogodzić się z tą śmiercią. Bo przecież, to będą znowu jego słowa:

„Największa z wszystkich wód to łza pod powieką.”

SPLÓT

Nim uśniesz nakręć świat i dzikie pogas słońca

Po rozległej równinie smukłe chodzą konie powietrze czesze wiatr pełne jest dobrych chęci niebo nachylone

Największe z wszystkich drzew to ziarno w twojej dłoni

Nim uśniesz ucisz czas i wstrzymaj ognia pęd

W zielonym gaju granaty pękają świst piasku przecina wód srebrnych arterie oaza śmiertelnie porażona błędnie w żelaznym uścisku kolczastych zasięków

Największa z wszystkich wód to łza pod powieką

Nim uśniesz wstrzymaj ruch wskazówki na tarczach zegarów

Nad zatoką zwłoki konarów poległy staczają się w grzęzawiska a nocą dym strzela w rozwarłe źrenice gwiazd

Największe z wszystkich miast jest w pięści zaciśniętym popiołem

Nim uśniesz odmierz dal i drogi ziemskiej tor

W szalasach trzciny w ruinach siadają promienie oczu wędrują i słowa na nowo te same padają w dziecięce dusze już nigdy nie zabije Kain Abła

Największy z wszystkich krajów to kraj wschodzącej nadziei

Nim uśniesz nakręć świat i dzikie okiełznaj słońca

Po rozległej równinie chodzą dziewczęta i chłopcy różnokolorowe niebo smukłe im barwi ciała jeden Hermes czy Juan znicz zapala złoty Największy z wszystkich światów to owoc twojej dłoni

Z tomu „Rzeźbienie horyzontu” W. Ł. 1972

ŻYWIÓŁY

Rzekł więc ograniczają nas żywioły woda ogień powietrze i słowo

Mój brat ma przeźroczyste oko widzę na dnie roztraskane drzewo

Mówię mu bracie coż ci wadzi korona zabierasz mi co dzień co liść co światło które kochasz wiem chociaż cierpisz z powodu kalectwa

Rzekł więc ograniczają nas żywioły noc strach poczucie nietrwałość

Mój brat ma pękniętą skórę słyszę jak w piach wycieka bezustannie źródło

Mówię mu bracie coż wadzi ci prawda zejść się możemy niekoniecznie pod ziemią co rusz co gest codziennie wysychasz w sobie jak byś nie znał formy dla swego pragnienia

Rzekł więc ograniczają nas żywioły przestrzeń czas głębia i ciało

Mój brat ma serce pełne samotności płynie krew jego w zamkniętym układzie

Mówię mu bracie więc spróbuj żyć za mnie ja za ciebie w źrenicy oka jako twój język i ból i niekosmate twe ucho jakby jeden w nas głód i jedna forma naszego pragnienia

Rzekł więc połączą nas żywioły woda ogień powietrze i słowo

Z tomu „Rzeźbienie horyzontu” W. Ł. 1972

JESZCZE RAZ W SPRAWIE LEWYCH WORÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

lecz także z Naczelnym Dyrektorem Warszawskiej Centrali, który we wspomnianym na początku liście do Pisarkowej wyraźnie stwierdzał nieprawidłowość przyjęcia pszenicy w dn. 23 XI i 11. XII. 1970 r. Czyżby Wojewódzkie Przedsiębiorstwo lepiej znało się na rzeczy niż Centrala? Chyba tak, skoro torpeduje również kolejne stwierdzenie Centrali o wykonaniu w dn. 24. XII. 1970 r. kontroli zabezpieczenia zakładu przez pracownika w stanie nietrzeźwym, pisząc na tę okoliczność, że Pisarkowa „wymusiła na dozorcy J. Gali stwierdzenie jakoby ob. R. Kuliński przebywał na zakładzie w stanie pijanym”.

Ale jedźmy dalej:
„W dniu 27. X. 1970 r. ob. Z. Pisarek otrzymała ostrzeżenie na piśmie za nietaktowne zachowanie się wobec współpracowników. W dniu 19. X. 1970 r. bezpodstawnie naubiła dozorcy ob. Dudowej.”

Co na to Pisarkowa? Ano, miała swoje powody, żeby bocyć się zarówno na Dudową jak i Krystynę Różgę: magazynierkę, z którą startowała się w sześćdziesiątym dziesiątym roku, kiedy to doprowadzono z młyna trzy worki. Tej kradzieży, broń Boże, pismo nie pomija; Pisarkowa „otrzymała pochwałę za prawidłowe pełnienie służby dozoru”, natomiast w stosunku do magazyniera ob. Krystyny Różgi i robotników ob. ob. Boczkowskiego i Suwarta dyrektorka zakładów zastosowała konsekwencje służbowe w postaci ostrzeżenia na piśmie (? — A.M.).

Czy te sankcje były wystarczające? Pisarkowa nie wierzyła ani Dudowej ani Różdze. I miała słuszną rację. Ale tę słuszną rację zdecydowało się już, niestety, przemilczeć. Przypomnę więc: tuż przed moim pierwszym przyjazdem do Piotrkowa w młynie nastąpiła oczywista, udokumentowana, ściągana przez milicję kradzież 10 worków, za którą — wedle słów kierownika Józefa Drożdża, potwierdzonych wobec mnie zarówno przez dyr. Agackiego jak i dyr. Boninskiego (autora pisma) — odpowiadała właśnie Różga i Dudowa, za co obie otrzymały wywołanie.

Przemilczeń takich jest zresztą w tym piśmie znacznie więcej. Weźmy dla przykładu akapit:

„Rewizja wykazała, że ilość nieodzyskanych przetworów z tytułu nawilżania ziarna wynosi 7.844 kg, a nie 15.438 kg, o czym ZZZM w Piotrkowie zawiadomiły Powiatową Prokuraturę już w dniu 2 lutego 1970 r.”

Bardzo pięknie, ale jak te „nieodzyskane przetwory” wyglądały w 1971 r.? Przecież ten rok również zakończył się brakiem rozliczenia i interwencją Prokuratury. Czyżby dyr. Boninski o tym zapomniał? A przecież sam mi mówił w styczniu:

— Jasne, że ktoś kradnie.
— Nie można wykluczyć tej ewentualności — powiedział następnego dnia odpowiadając za „Piotrków” dyr. Agacki i dodawał skromnie, że poczynił już wiele przedstawień personalnych (wymówienia, degradacje), aby zboże było wreszcie zbożem, a nie jakąś cholerną kamforą.

Ale ja w te przedstawienia nie wierzę.

Nie mam także przekonania do niektórych sformułowań pisma, które, same w sobie, zamiast piotrzkowskie młyny wybielać — działają, pod brzemieniem faktów, odwrotnie.

Kilka próbek:
„W dniu 30 września 1969 r. wywieziono z młyna odpady nieużyteczne w 80 workach. Po opróżnieniu worków za miastem

na wysypisku śmieci z powrotem do młyna przywieziono 116 worków. Jak wynika z przeprowadzonego na tę okoliczność postępowania wyjaśniającego przez rewidenta zakładowego (niezwykle po uzyskaniu informacji od ob. Pisarek) oraz z wyjaśnień złożonych przed organami ścigania przez magazyniera ob. R. Kulińskiego i innych pracowników (członków komisji likwidacyjnej), zdarzenie to miało przebieg następujący: poprzedniego dnia magazynier Kuliński liczył worki z odpadami i ustalił, że było ich 80 sztuk. W związku z tym taką ilość uwidocznili w dowodzie wydania. Z uwagi na to, że wiele worków było uszkodzonych, robotnicy rozsypali odpady zebrali w dodatkowych worki i załadowali na samochód nie informując o tym magazyniera. Stąd powstała niezgodność między ilością wywiezionych worków z młyna i przywiezionych z powrotem. Decyzją dyrektora zakładów z dnia 5. X. 1970 r. w dniu 14. XI. 1970 r. ukarano magazyniera ob. R. Kulińskiego (tego samego, co to według wymuszonych „rzekomo” przez Pisarkową na J. Gali oświadczeń „przebywał na zakładzie w stanie pijanym” — przyp. — A.M.) za niedbałą pracę, z potrąceniem 50 proc. premii za 3 kw. 1970 r.”

Jakże to? Więc Kuliński został ukarany dopiero w rok po tym incydencie? I co to za kara? Ostatnio, przeciwnie, w wyniku podejrzeń, przeniesiono go do działu handlowego z trzystuzłotową obniżką pensji...

Ale jedźmy dalej:
„W sprawie worków przewożonych z magazynu opakowań do młyna nr 1 ustalono co następuje: w dniu 27. XII. 1970 r. o godz. 8 kierowca Olszewski przywiózł do młyna nr 1 z magazynu głównego opakowań 400 szt. worków. Z uwagi na to, że w tym czasie w magazynie opakowań nie było kierownika (spóźnił się do pracy na skutek wypadku (...)), pracownicy magazynu wydały kierowcy 400 szt. worków bez dowodu wydania. Portierka ob. M. Lipczyńska odnotowała przywóz tych worków do młyna nr 1 w książce

kontroli pojazdów. W tym samym dniu kierowca Olszewski przywiózł drugą partię worków w ilości 2.500 szt. i jednocześnie przedstawił ob. M. Lipczyńskiej dowód wydania na ilość 2.900 szt. worków. Dowód ten ob. M. Lipczyńska wpisała do książki kontroli pojazdów. Po zorientowaniu się, że dowód ten obejmuje ilość worków przywiezioną dwoma kursami (400 + 2500), zapis uprzedni uwidocznił w książce kontroli pojazdów przekreślona. Na tej podstawie ob. Z. Pisarek wyciągnęła wniosek, że w dniu 27. XII. 1970 roku do młyna przywieziono 3300 szt. worków (? — A.M.), a magazynier współdziałając z magazynem opakowań zaprzychodził tylko 2.900 szt. worków”.

I tak już w tym piśmie do końca. Obalone zostały wszystkie postawione przez Pisarkową zarzuty, których było tak dużo, że nie sposób nawet wyliczyć. Obalona została teza, że Pisarkowa musiała odejść z zakładów na skutek zaszczucia: „nie była karana za to, że ujawniała nieprawidłowości, w przypadku bowiem ujawniania czynów lub okoliczności mogących stwarzać warunki do nadużyć była nagradzana, zaś ponosiła konsekwencje służbowe (ostrzeżenia, napomnienia; parokrotne potrącenie premii; dwukrotne przeniesienie do innych zajęć; wreszcie propozycja, aby przekwalifikowała się na sprzątaczkę; przyp. — A.M.) za niewłaściwe odnośnienie się do współpracowników i przelożonych doprowadzając przez to do awantur i nerwowej atmosfery w pracy”. Obalone zostały również, poruszone przeze mnie na marginesie pierwszego raportu, pretensje zwolnionej z młyna Joanny Kantorskiej oraz Zofii Wójcickiej, która — uwaga! — wedle pisma: „została zatrudniona na czas od 9. V. do 9. VII. 1970 r. Kierownik spichrza ob. Prochoń przez przeoczenie (? — A.M.) dopuścił ob. Z. Wójcicką do pracy po dniu 9. VII. 1970 r. W tej sytuacji dyrektorka ZZZM w Piotrkowie przedłużyła z wymienioną umowę o pracę do dnia 29. VII. 1970 r. W tym dniu pogotowie ratunkowe zabrało ob. Wój-

cicką do szpitala dla odbycia porodu. Następnie przebywała w domu traktując, że jest na urlopie macierzyńskim, natomiast dyrektorka ZZZM w Piotrkowie uważała, że ob. Wójcicka została rozwiązana z umową o pracę automatycznie z dniem 29. VII. 1970 r.”

Doprawdy — majstersztykiem jest to pismo, kończące się słowami: „w ocenie Woj. Przedsiębiorstwa reportaż przyczynił się do usprawnienia działalności zakładów za co wyrażamy podziękowanie autorowi i Redakcji”. Niestety mnie trudniej przychodzi podziękować za taki list. Nie jestem przecież reporterem z jakiegoś szmoncesowego brukowca, którego można na wszystkie strony wyobrać.

Co się zmieniło?
Jakie wnioski wyciągnęły młyny i Wojewódzkie Przedsiębiorstwo z mojego pisma?

Czy dyr. Boninski naprawdę wierzy, że niektóre zanegowane lub zatuszowane kradzieże da się raz na zawsze przysypać pyłem milczenia?

A co z rachunkiem ludzkich krzywd? Po moim reportażu wielu pracowników młyna zaczęło się burzyć. Znam ich nazwiska. Wiem na przykład o sprawie Otylii Adamczykowej, dozorczyń młyna nr 2, która w chwili, kiedy pominięto ją przy podziale premii, ujawniła drastyczne szczegóły z zakresu stosunków obyczajowych i międzyludzkich w zakładzie. Wiem o sprawie Janiny Ciepłuchy, która w związku z moim reportażem wystosowała do dyrektora naczelnego Centrali PZM w Warszawie następujący list:

„Choć mijają prawie dwa miesiące od chwili przeczytania tego artykułu, to dziś, a jest to dla mnie znów głębokie przeżycie, zdecydowałam się napisać do Szanownego Pana z nadzieją i prawie wiarą, że znajdzie się uczciwy człowiek wiedzący, że surowo trzeba karać tych, którzy bezkarnie krzywdzą i demoralizują podległy sobie personel, a przedsiębiorstwo traktują jak folwark, bo tak sobie tam poczynają: dyrektor i kierowniczka kadr.

Od września 1970 roku jestem na rencie inwalidzkiej (1.300). Mam w tej chwili lat 59 i pracowałam w samych tylko Zakładach Młynarskich w Piotrkowie 15 lat, prowadząc od początku dział planowania i kadr, a także, przez kilka kadencji, piastując funkcję przewodniczącej Rady Zakładowej.

Moja bolesna droga w dół, mniej odpowiedzialne funkcje, coraz ostrzejsze konflikty, lata bez podwyżki, potrącenie premii, zaczęły się datować od 1966 roku — od wykrycia poważnej kradzieży worków, dokonanej przez I sekretarza POP na zakładzie. Wykryłam te nadużycia wskazując osoby, podsuwając dowody inspektorowi Gauerowi, który ponoć nie zwrócił się do mnie o pomoc w wykryciu nadużyć (też kradzieży worków), kiedy już byłam dostatecznie zaszczuta(...)”.

„(...)Wszystko skoncentrowało się wokół osoby dyrektora, jego niemoralnego trybu życia, pijackich wyczynów (o czym jakże dobrze wiedzą kierownicy). Wszyscy na wstępie gwarantowali dyskrekcję, czasem straszili i nie łamali się nie zmienić. W dalszym ciągu były tu i tam l'bacje, prześcigali się panowie kierownicy w stawianiu z młodem czy gorzkim, tu i tam były kradzieże, jedne sprawy szły na wokandy sądową, inne były umarzane z braku dowodów(...). Mnie natomiast szkanowano, zabroniono chodzić do sekretariatu, bym nie „przeważała”. Coraz częściej musiałam korzystać ze zwolnień lekarskich: nerwy i serce odmówiło posłuszeństwa.

Zwróciłam się wreszcie ze skargą do Dyrektora Zjednoczenia z prośbą o stworzenie mi warunków na pracowanie jeszcze niespełna dwóch lat do emerytury. Dyrektor Boninski nie uważał za wskazane odpowiedzieć mi (...). Zwycięzcy zatriumfowali, lekarz skierował mnie na rentę inwalidzką, procedura uzyskania renty trwała prawie rok, bo kierowniczka kadr nie chciała wydać zaświadczenia o mojej pracy. Nie pozwolono mi uzyskać praw emerytalnych w Zakładzie, gdzie pracowałam lat 15, zabrano zdrowie, zabito wiarę w ludzi i sprawiedliwość. I zło w tym przedsiębiorstwie panuje nadal, narastają krzywdy, odchodzą wartościowi ludzie, a ci, co zostają, bo muszą, nie mówią i nie nie będą mówili, bo widzą na przykładzie innych, na jakie mogą się narażić szczykany”.

Janina Ciepłucha była, wedle zebranych przeze mnie opinii, znakomitą, uczciwym pracownikiem. Cenili ją władze zwierzchnie. Z ramienia Centrali wytypowano ją w pewnym okresie do kontroli innych magazynów; wielokrotnie reprezentowała okrąg łódzki w Krajowych Zjazdach Przemysłu Młynarskiego. Jej głos jest bezinteresowny. Oświadczyła w skierowanym na mój adres liście: „Artykuł pt. „Lament w sprawie zaginionych worków” obudził we mnie nadzieję, że o ile już nie moja, to krzywdy innych znajdzie sprawiedliwość”.

Podobnie bezinteresownie, za własne pieniądze, walczy w dalszym ciągu Pisarkowa, której udało się zainteresować sprawą młynów Prokuraturę Generalną.

Kiedy po raz ostatni widziałem się z tą kobietą ósmego czerwca, pod jej dyktando, nie zmieniając ani słowa, napisałem to oto zakończenie:

— Mam świadków pakarzy, że w młynach moczy się zboże, aby uzyskać nadwyżki i potrafił to udowodnić przed każdym sądem... A jak ja wywiązuję się ze swoich obowiązków, to można się spytać w mojej nowej pracy... I wie pan co... o nic mi nie chodzi, tylko o sprawiedliwość. Jak będzie sprawiedliwość, to i ja będę miała krzywdę wyrównaną, nawet jeśli stracie na tym trochę grosza...
ANDRZEJ MAKOWIECKI

STEFAN PRAŻMOWSKI

Polak turystą zagranicznym

Od kiedy wyjazdy zagraniczne przestały być tylko udziałem sportowców i dyplomatów, samopoczucie naszych rodaków znacznie się poprawiło. Oczywiście wcale nie dlatego, że teraz już wszyscy hurmem rozjeżdżają po świecie, a przynajmniej po Europie. Nie, na razie wszyscy jeżdżą tylko do NRD. Ale sama świadomość, że bez większego trudu można już dziś w każdej chwili wyjechać indywidualnie do Belgradu czy Paryża, a z Orbisem nawet do Kairu lub Barcelony — też coś znaczy.

Do niedawna Polacy zwiedzali świat z musu, z konieczności — jechali za chlebem, uciekali przed najeźdźcą, wyjeżdżali, by bić się za waszą i naszą wielkość — obecnie najczęściej jeżdżą dla przyjemności, rzadziej dla uzupełnienia swej garderoby, najchętniej zaś służbowo. Wolą raczej jeździć indywidualnie niż grupowo, zbiorowo i masowo. Przestali również ostatnio zachowywać się za granicą jak skrzyżowanie Ormian z Fenicjanami. Zmieniono tylko przepisy celne, a zaraz przestaliśmy wyręczać skórzaną „Textilimportu”. Handlowa strona polskiej natury, raptownie rozbudzonej i oszłomionej konfekcyjnymi możliwościami naszych sąsiadów, powoli przycicha i przysycha. A może to jednak nie tyle zasługa celników, co raczej Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Na dobrą sprawę w Warszawie teraz łatwiej kupić skórzaną kurtkę niż w Budapeszcie, a w Budapeszcie łatwiej o suchą kiełbasę niż w Łodzi. W katowickich „Delikatesach” jest więcej koniaków niż w warszawskich sklepach. Dziś, w każdym bądź razie, już nie opłaca się jechać do Złoty Piasek tylko po kożuszek. Lepiej, bo bliżej do Nowego Targu. Niemniej wierzę, że przedzie do historii ów nasz rodak, który ocwaniał rumuńskich Cyganów,

sprzedając z dwustuprocentowym zyskiem zakupiony w Bukareszcie krem Yardley'a jako krem Nivea. I ta teściowa, która przywoziła zięciowi w prezencie zdjęcia pornograficzne z Danii.

Cóż, podróże kształcą, szczególnie zagraniczne podróże. Mają one także cudowną moc rozładowywania różnych kompleksów. Inna rzecz, że wyjeżdżając za granicę wyzbywamy się jednych kompleksów, a w zamian nabywamy drugich. Wywozimy stare — przywozimy nowe. Na ogół jednak turystyka zagraniczna leczy z zaściankowości, poszerza horyzonty, uczy skromności i uczy w ogóle. Oczywiście nie każdego, znam takich, którym już nie pomoże, nawet wyjazd na Bermudy. Na szczęście rodak nasz za granicą coraz mniej czasu poświęca ostatnio na przeliczanie, a coraz więcej na porównywanie. Kraj nasz wcale nie wychodzi na tym źle. Polak odkrywa dopiero za granicą, że mimo tylu wojennych klęsk, mamy więcej zabytków, niż kraje skandynawskie, ładniejszy krajobraz niż kraje śródziemnomorskie i o wiele lepsze drogi, niż kraje czarnomorskie.

Jak jest tak pięknie, dlaczego jest tak źle? Ba, właśnie dlatego, że jest tak dobrze i coraz więcej ludzi wyjeżdża. Ale biura paszportowe tego nie zauważyły. Powiedzmy dokładniej — kierownictwa tych biur. Po zwykłą wkładką trzeba wyczekiwać godzinami w kancelariach komisariatów. W urzędzie na al. Kościuszkich paszporty do KK załatwia jedna, umęczona urzędniczka. Na okres letni konieczne należałoby zwiększyć personel tego biura, szkoda bowiem i pentetów i pracowników.

W związku ze wzrostem liczby wyjazdów zagranicznych pojawiły się całkiem nowe, nie znane dotąd w kraju kolejki. Czyż rzeczywiście musimy być ciągle skazani na jakieś „kolejkowanie”. Ledwo uporaliśmy się z kolejkami po cytryny, natychmiast pojawiły się kolejki po wkładki paszportowe.

Kiedyś do Paryża jechało się dwa tygodnie, a formalności załatwiano się w ciągu godziny. Teraz leci się samolotem godzinę, a formalności załatwia dwa tygodnie. Zaden to postęp i żadna przyjemność. To już lepiej jechać czterema dniami karocą, niż stać przez ten cały czas w kolejce i to w dodatku w ciasnym pomieszczeniu. Klaustrofobia się tylko można nabawić. Tymczasem wyjazdy zagraniczne są właśnie w tym celu, żeby się klaustrofobię pozbyć.

Co prawda rzecz cała zaczęła się w Łodzi, ale był to już epilog niezwykłej historii, której początek datuje się w drugiej połowie 1969 r., a miejscem jej jest Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie. Trzymając się chronologii wydarzeń przedstawiam rzecz całą wraz z jej bohaterami, których działalność — wielkim sprytem znaczną — została opisana w dziele noszącym tytuł: „Akt Oskarżenia”. Autorstwo należy do Prokuratury Woj. m. Łodzi.

FSO w latach 1969—1971 produkowała jedynie samochody osobowe marki: „Fiat” 125-P, „Warszawa” i „Syrena”. Części zamienne do ich montażu dostarczane były do magazynów FSO przez różne zakłady, a także (do „Fiata”) przez producentów zagranicznych. Dział Kontroli Jakości Dostaw — podzielony na dwa wydziały — sprawdzał ich wartość. Z kolei Wydział dzielił się na sekcje, w których pracownicy zwani „brakarzami” zajmują się kontrolą i sprawdzaniem określonych części. Niektóre części przekazywane były do badań specjalistycznych poza fabryką — w Centralnym Ośrodku Konstrukcyjno-Badawczym Przem. Motoryzacyjnego lub w filii Działu Głównego Konstruktora FSO w Falenicy. Części gromadzone w magazynach branżowych, stamtąd pobierali je „brakarze” na podstawie dowodów. Taką obowiązywała zasada. W praktyce jednak magazynierzy wydawali części bez wystawiania dokumentów „pobrania-wydania”. Załatwiano to na słowo, tak co do ilości, jak i rodzaju części, a że i części i brakarzy było multum — magazynierzy tracili generalnie orientację.

W jednej sekcji, noszącej symbol „210” — a było to we wrześniu 1969 roku, jeden z pracowników poinformował dwóch innych o „kapitałnej” możliwości wywiezienia części z fabryki ambulansem pocztowym „Łączności”. Wystarczyło w tym celu porozumieć się z magazynierem tzw. „Izby Przyjęć”, który zna kierowców i konwojentów ambulansu. I tak się zaczęło. Nabywca był już upatrzonej. Właśnie kompletował sobie „Fiata”. Pomogli mu w tym, zabierając, pod nieuwagą pracowników hali montażowej FSO, nawet pokrycia do siedzeń w odpowiednim kolorze. Nabywca miał coraz większe wymagania, a dostawcy wraz z konwojentami pocztowymi sekcję „210” i magazyny z różnych części. Zauważył to pracownik sekcji, zawiadomił o tym drugiego, a ten samego kierownika Wydziału. Kierownik... kierownik oświadczył, że kradzieży nie należy ujawniać. Złodziejska metoda przypadła mu do gustu, albowiem widział w niej doskonały sposób zaopatrzenia się w części do remontowanego aktualnie własnego samochodu, tudzież samochodu teścia. I „dostarczył” sobie ponad 80 detali o wartości 70 tys. zł. Załoga ambulansu spisywała się równie dobrze, co „dostawcy” z

magazynów. A ci, którzy kradzież ujawnili — włączyli się do spółki, i to bardzo aktywnie, wydając polecenia zwiększenia ilości pobieranych z magazynów detali. Zapotrzebowania były coraz poważniejsze, a pan kierownik osobliwie przyniósł do zapakowania i wywozu, m. in., atrapę włoską, łożyska do „Warszawy”, reflektory, gaźniki. Paczkowano, wspólnicy dokładali części dla siebie, ambu-

znowu „zły los” pokrzyżował prostą drogę ambulansu. Milicja zainteresowała się konwojentem, pocztowy samochód trzeba było wyłączyć z akcji. Nie oznaczało to likwidacji spółki. Też głowy znalazły inne drogi wywozu. Pracownik Działu Głównego Konstruktora w falenickiej filii — konstruktor w Biurze Badań Drogowych — wzmocnił potencjał kadrowy przestępczej grupy i sam samochoda-

przepustki opiewały na „pojemnik plombowany”. Proste — dozór przy bramie plombował, panowie po wylądowaniu części zakładali nowe plomby (w mieszkaniu jednego z nich), zaciskali je kombinerkami i wszystko było w porządku. W listopadzie konstruktor przestał przyjeżdżać z pojemnikiem, ale laskawy los sprzyjał spółce. Jeden z głównych kombinatorów przeszedł do Biura Analiz Jako-

amortyzatorów w bagażniku itp. Wszyscy świadczili sobie za wzajemne usługi, „zaopatrzenie — zbył”, pieniężne ekwiwalenty. Wartość części ukradzionych w fabryce wyniosła setki tysięcy złotych. Zbывano je w różnych miejscach i różnym nabywcem, ale największy ruch panował na trasie Warszawa — Łódź. Załoga sklepu Przedsiębiorstwa Państwowego „Motozbyt” nr 33 w Łodzi stanowi-

zakupić jako najbardziej „chodliwe”. Sprzedawca łódzki pojechał do stolicy, spotkanie „przedsiębiorców” odbyło się w restauracji, zamówienie dotyczyło teleskopów. Nie minęły dwa tygodnie — teleskopy dostarczone (po 300 złotych sztuka, a cena wynosiła 500 zł) 20 sztuk. Sprzedawca objął tymczasem funkcję kierownika sklepu i dokooptował do spółki sprzedawcę. W warszawskiej dwójce dostawców-złodziei nastąpił rozłam i każdy na własną rękę zaopatrywał kierownika sklepu nr 33. Ten zaś powiększył swą załogę jeszcze o jednego sprzedawcę i dobrane trio, wiosną 1971 roku, sporządziło wykaz zapotrzebowania, składający się z 40 pozycji. Dostawcy zwozili: komplety rozrządów, łożyska, sprzęgła, tłoki, zawory, klocki hamulcowe, sprzężyny zawieszania, linki hamulcowe itd. Odbiorcy składowali to wszystko w swoich mieszkaniach. Tak na oko, wartość przyjętego materiału przekraczała 400 tys. złotych. Kiedy milicja wkroczyła do mieszkania pana kierownika — znalazła na składzie towar wartości około 100 tys. zł. Nie zdążono jeszcze wprowadzić zapasu na półki sklepowe, z których przedko zniknął, jako że zapotrzebowanie ze strony właścicieli samochodów na części zamienne jest bardzo duże, a podaż... wiadomo, nie nadąża. Wzrasta także zapotrzebowanie na dobre ogumienie. Warszawska spółka zakładała samochodom technologicznym ogumienie firmy „Dunlop” i na terenie Łodzi zamieniano całe koła samochodu na inne koła „Fiata 125”. Załoga łódzkiego sklepu pomagała mu w zbyciu i manipulacjach technicznych przy wymianie kół. 5000 zł szło za koła dla sprzedającego, pomocnicy dostawali dole podwójną — od sprzedającego i od nabywającego. Załoga łódzkiego sklepu w dążeniu do sprostanja zapotrzebowania klientów jako środka do wyciągnięcia korzyści dla siebie — kontaktowała się także z dostawcami z Poznania. Mała spółka, ojciec i syn, przywozili im po niższych cenach dwa razy towar (wartości 40 tys. zł).

ZOFIA TARNOWSKA

KUPIĘ CZĘŚCI ZAMIENNE...

lans wywoził. I tak trwało do maja 1970 r., kiedy to kierowca ambulansu został zwołany z „Łączności” i przestał przyjeżdżać do FSO. Zdążył jednak wywieźć z fabryki kilkadziesiąt „porcji” o wartości co najmniej 140 tys. złotych.

Następnego kierowcę skaptowano do spółki. Skusił go lekki zarobek i interes siedzi na zasadach tej samej organizacji, rozwijany i wspomagany innymi jeszcze metodami kradzieży na podstawie oficjalnego wynoszenia większych elementów przy pomocy przepustek, przedkładanych portierom. Mniejsze części wynoszone w kieszeniach. I

mi biura wywoził części z fabryki do Falenicy, używając najchętniej samochodu z pojemnikiem. Nie było to trudne. Przepustki materiałowe były wydawane bez specyfikacji. Pisano na nich tylko: „pojemnik zaplombowany”. Kto więc miał wiedzieć, czy odrić fakt, że ładowano tam co się tylko dało ukraść trzem „zaopatrzeniowcom” z sekcji „210”. Kiedyś tak naładowano pojemnik, że trzeba go było lokować na samochodzie przy pomocy specjalnego podnośnika. Ten system spełnił swe zadania na sumę co najmniej 270 tys. zł.

A co z plombami? — zapyta uważny czytelnik. Przecież

ci i używał samochody doświadczalne FSO, którymi jeździł po całej Polsce. Droga była wolna!

W tym czasie kierownik wydziału wyremontował już swojego „Fiata”, sprzedał go na giełdzie za 110 tys. zł, kupił drugi za 73 tys. zł, i znowu zaczął remont kradzionymi częściami. I byłby pewnie kontynuował remonty i handel, gdyby nie wpadka jednego z dostawców. A było to już w styczniu br.

Wracamy jednak do samochodów, które jeździły na próby. Udała się „próba” wywieżenia np. 40 kompletów rozrządów silnika za obicem tapicerskim drzwi, 50 sztuk

ła trójkę odbiorców - hurtowników. Jeden z pracowników FSO był bratem pracownika Stacji Obsługi Samochodów w Łodzi, a ten powiadził sprzedawcy sklepu nr 33, że brat wraz z innymi pracownikami FSO mogliby dostarczać mu różne części do „Fiata”.

Kontakt nawiązano. Pierwsza dostawa obejmowała 12 kompletów klocków hamulcowych po cenach niższych od obowiązujących. Pracownicy FSO, używający technologicznego samochodu, z prawem poruszania się po całym kraju, zapewnili sprzedawcę, że będą mogli mu dostarczać takie części, jakie będzie chciał

* * *

Rozprawa sądowa, która odbędzie się w Łodzi, obejmie 9 oskarżonych. W stosunku do innych toczą się podobne postępowania. Afera jest duża i... daje dużo do myślenia. Tematem rozmyślań może być struktura organizacyjna części działów Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu i tryb kontroli wewnętrznej oraz... produkcja samochodów. Jeżeli bowiem produkujemy samochody, a nie produkujemy odpowiedniej ilości i rodzajów części zamiennych, to stwarzamy sytuację, w której normalnemu zapotrzebowaniu sprostać może tylko nienormalne zaopatrzenie. I tak „okazja rodzi złodzieja” — jak mówią przysłowia. Złodzieje poniosą zasłużoną karę, a co będzie z okazją?...



Artysta i przemysł

Dalszy ciąg ze str. 1

nicznego, projektowaniem zajmowali się ludzie, którzy swoje umiejętności czerpali z tradycji, z tego, co im przekazywali ich poprzednicy. Człowiek taki mógł w ówczesnych warunkach łączyć w sobie jednocześnie umiejętności projektanta i technologa. W miarę jednak postępu techniki musiało dojść do rozdzielenia tych umiejętności i w fabrykach włókienniczych pojawili się artyści plastycy. Ale przemysł rozumiejąc potrzebę zatrudnienia artysty, nie potrafił stworzyć mu odpowiednich warunków do działania. Systematycznie rosło zapotrzebowanie na plastyków projektantów, w ich przygotowywaniu zaczęła

specjalizować się łódzka szkoła plastyczna, a warunki ich pracy nie ulegały nadal zmianie. I tak doszło do konfliktu.

Jeden z działaczy gospodarczych relacjonował mi niedawno rozmowę z projektantem poszukującym pracy. Ów działacz bardzo dziwił się, że może być projektant, który pozostaje bez pracy. — Przecież fabryki potrzebują plastyków — tłumaczył zainteresowanemu. I zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy usłyszał w odpowiedzi, że tam trzeba iść na 7 rano i siedzieć całe osiem godzin. Takie postawienie sprawy oburzyło nawet mego rozmówcę i trudno mi było mu wytłuma-

czyć, że niezupełnie ma rację. A przecież trudno jednakową miarą mierzyć pracę artysty, urzędnika czy technika.

Nieco odmienny i równie nieprawdziwy pogląd na pracę projektanta reprezentują ci, którzy skłonni są uważać go za „artystę niższej rangi”. Tymczasem według opinii specjalistów projektantom przy rozwiązywaniu problemów kompozycji formy i barwy towarzyszy takie same napięcie intelektualne i uczuciowe, jak tym artystom, którzy parają się malarstwem, rzeźbą czy grafiką. I wielu tego nie rozumie, dzieląc sztukę na czystą i użytkową. Znaczenie pogarsza to samopoczucie tej licznej grupy artystów i szkodzi w taki sam sposób, jak nie respektowanie przez zakłady przemysłowe prawa projektanta do dni studyjnych i plenerów, obciążanie go zbędną i tylko formalnie pojętą dyscypliną i wykorzystywanie do prac nie mających nic wspólnego z projektowaniem.

Po rozmowie z wieloma projektantami śmiem twierdzić, że to nie strach przed ośmiodzinnym dniem pracy i rannym przychodzeniem do fabryki, ani też strach przed zamieszkaniem

w małym mieście, np. Turku czy Tomaszowie Maz. skłania niektórych do odrzucenia propozycji pracy w przemyśle. Artysta projektant, tak jak każdy artysta musi związać się silnie ze swoim środowiskiem, a ma je przede wszystkim w dużym ośrodku i tu szuka pracy. Pracując nad projektem poświęca mu nieraz więcej niż osiem godzin, ale też musi mieć odpowiednie warunki do właściwego gospodarowania swoim czasem. Sprzecznym tych dążeń z rzeczywistością polega jedynie na tym, że projektant nie może tworzyć w oderwaniu od technologii i dlatego fabryka jest mu niezbędna. Jak jednak tę sprzecznność rozwiązać?

SAMOTNOŚĆ PROJEKTANTA

Próbę podjął przemysł jedwabniczy, zawierając umowy z projektantami, którzy zobowiązują się do wykonania w miesiącu określonej ilości wzorów. Projektant może nie wykonać w jednym miesiącu zaplanowanej ilości wzorów, ale musi wywiązać się z nich w następnym. Takie rozwiązanie organizacji pracy projektanta daje mu pewną swobodę

twórczą, ale nie zapewnia całkowitego powodzenia. Projektant nigdy dobrze nie wie, z jakim uznaniem spotka się jego propozycja. Wprawdzie MPL stwierdza, że zakładowa komisja oceny wzorów jest organem opiniodawczym dla dyrektora przedsiębiorstwa, który jest uprawniony do zatwierdzenia wzoru do produkcji, ale projektanci bardzo często kwestionują kompetencje i komisji i dyrektora. To, że niejednokrotnie mają rację potwierdza praktyka. Zdarzyło się już w przemyśle lnianym, że odebrano niektórym dyrektorom prawo decydowania o wzornictwie, przenosząc je do zjednoczenia.

Kto miał okazję bywać na Krajowych Targach w Poznaniu ten mógł się przekonać, że prezentowane tam kolekcje są bardziej interesujące niż to, co później przemysł i handel oferują klientom. Przyczynę tej różnicy należy upatrywać w metodach gospodarowania w przemyśle. Stałe rosnące zadania produkcyjne nakładają na organizatorów produkcji coraz to większe obowiązki, sprzyjając tym bardziej troszczeniu się o ilość niż jakość. Kierownictwa przedsiębiorstw starały się,

a jest to chyba i nadal aktualne w niektórych jeszcze przypadkach, nakłaniać projektantów do opracowywania wzorów łatwych do wytworzenia. Wystarczyło tylko odrzucić kilka wzorów trudniejszych, aby projektanta szybko zniechęcić do dalszych poszukiwań. Nikt przecież nie lubi pracować w próżni, nie lubi, kiedy wyniki jego pracy idą na półkę lub do kosza. Taka praktyka jest możliwa szczególnie w warunkach istnienia rynku producenta, a więc przewagi popytu nad podażą.

Miałem swego czasu okazję rozmawiać z przedstawicielem przemysłu o kłopotach projektantów. Usłyszałem dość charakterystyczną opinię, wedle której wynikało, że są to kłopoty przejściowe, że jeszcze dwa lata i przemysł lekko da takie ilości wyrobów, że dyrektorzy przedsiębiorstw będą na kłęczkach błagać projektantów o pomysły i atrakcyjność wzorów. Dla mnie jest to pogląd wynikający z niezrozumienia istoty rzeczy. Być może istotnie za dwa lata będziemy świadkami przewagi podaży wszystkich artykułów przemysłu lekkiego nad popytem i o ich szybkim zbyciu decydować

...w sprawie ochrony środowiska

Prasa doniosła, że Politechnika Warszawska wystąpiła do przedsiębiorstwa prowadzącego roboty budowlane o odszkodowanie w wysokości 600 tys. zł za zniszczenie sześciu drzew rosnących na terenie Politechniki. W warunkach naszego kraju to precedens. Czy pomyślny precedens? Bałbym się użycia tu słowa „pomyślny”, skoro zdarzył się on na tle wandalizmu, mającego u nas paskudną a zarazem długą tradycję, ale mającego także bardzo szacownych protektorów. A więc — po prostu precedens. Jest tylko rzeczą zdumiewającą, że administrator Politechniki (któremu zresztą należą się słowa najwyższego uznania), okazał się w swoich żądaniach tak skromny. 600 tys. złotych za sześć drzew — to cena nie pozostająca w żadnym stosunku do ich ekologicznej wartości.

Korzystając z czechosłowackich wzorów, możemy bez większego trudu obliczyć choćby przybliżoną wartość drzewa. Uczni czechosłowaccy wzięli za podstawę obliczenia jeden element: wartość tlenu wyprodukowanego przez dane drzewo. Stwierdzili więc, że 1 m kw. liści wydała w ciągu godziny minimum 1,3 g tlenu, a więc w ciągu roku odpowiednio 11,5 kg. Obliczono następnie, że drzewo 10-letnie, a więc stosunkowo nie wielkie i młode ma około 300 m kw. powierzchni liści. Wprowadza ono do atmosfery około 3.500 kg tlenu rocznie. W Polsce cena tlenu, jaką placą szpitale, wynosi 4,70 zł za m sześć, tj. 3,29 zł za kilogram. A więc wartość tlenu wprowadzonego do atmosfery przez owo 10-letnie drzewo wynosi 11.515 zł rocznie. (Oczywiście autor niniejszego artykułu nie ma zamiaru wyręczać fachowców; przeprowadzone tu obliczenia ma jedynie wskazać rząd wielkości, scharakteryzować wartość drzewa przeliczoną na pieniądze, wreszcie — skłonić naukowców do dokonania obliczenia, uwzględniającego wszelkie dane i okoliczności). Gdybyśmy teraz przyjęli absurdalne założenie, że korona owego 10-letniego drzewa nie rośnie, a więc przez całe swoje życie ma powierzchnię liściowa 300 m kw., należałoby przyjąć, że w ciągu swego 100-letniego istnienia (lipa żyje do 150 lat!) wyprodukuje ono tlenu za 1.151.500 zł. Nie uwzględniono w tym rachunku szeregu czynników jeszcze bardziej podnoszących cenę żywego drzewa. Wydziela ono również wilgoć i to w znacznych ilościach, przyswaja dwutlenek węgla, przechwytuje pył unoszący się w powietrzu, tłumi hałasy oraz powoduje lokalną rotację powietrza.

Jeżeli więc w roku bieżącym wycięto kępę dorodnych drzew na rogu ulic Zamenhafa i Kościuszki, to tym samym pozbawiono mieszkańców tego rejonu wszystkich powyższych dobrodziejstw i jednocześnie pozbawiono nasze miasto majątku wartości kilkudziesięciu milionów złotych.

W jakim stopniu jest to sprawa ważna dla Łodzi i jej mieszkańców?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę szeroko rozumiane śródmieście, a mianowicie obszar zawarty pomiędzy ulicami Żeligowskiego a Kopcińskiego, pomiędzy Bałuckim Rynkiem a ul. Nawrot — Zamenhafa, to obliczono, że przez około 200 dni w roku stężenie dwutlenku siarki i pyłu jest na tym obszarze powyżej dopuszczalnej normy. Jeżeli lekarze łódzcy zwracają uwagę na fakt, że ogromna ilość dzieci choruje na schorzenia górnych dróg oddechowych, to wypadki dychawicy oskrzelowej u najmłodszych łódzian występują właśnie w punktach najwyższych stężeń pyłu w powietrzu. Latwo stwierdzić przy pomocy Rocznika Statystycznego, że w pięciu miastach wydzielonych, w roku 1970 na każdych 1000 urodzeń żywych w Łodzi zmarło najwięcej noworodków.

Dzieci są oczywiście bardziej podatne na choroby wynikające z zanieczyszczenia atmosfery, ale trudno sobie przecież wyobrazić, by dorośli byli na nie zupełnie odporni. Toteż według tego samego źródła tabela zgonów na 1000 ludności, przy średniej (dla miast) w Polsce 7,7 — dla Łodzi wynosi 9,7.

Są to raczej niepokojące rekordy i należy z dużym zadowoleniem powitać fakt, że Rada Narodowa m. Łodzi przyjęła w końcu czerwca uchwałę w sprawie ochrony środowiska, która przewiduje m. in. likwidację produkcji wiskozy w „Air-lanie”, oraz budowę czwartej elektrociepłowni. Rada Narodowa zobowiązała swoje Prezydium w p. 7 do „szczególnej troski o rozwój i skuteczną ochronę zieleni”. Poza tym w p. 9 uchwały mówi się o wyznaczeniu „jednej jednostki administracyjnej dla spraw ochrony środowiska człowieka i zapewnienia jej oraz in-nyr: jednostkom współdziałającym odpowiednich warunków dla prawidłowego działania w tym zakresie”. Mamy więc intencję ochrony istniejącej zieleni oraz określenie instytucji, która będzie (obok Prezydium Rady Narodowej) dbała o realizację uchwały.

Reszta więc zależy od tego, jak instytucje mające realizować uchwałę zrozumieją swoje zadania i jak je będą wykonywały. A to jest problem, który może budzić obawy.

Dr Olaczek obliczył, że w ciągu ostatnich kilku lat ścięto na terenie Łodzi 11 tysięcy drzew. Wycięto dwa rzędy pięknych brzoź i białodrzewów przy ulicy Hipotecznej, bez widocznej potrzeby, gdyż bloki były już wtedy wybudowane. Zakłady im. Wróblewskiego przy tejże Hipotecznej zaplanowały likwidację parku przyfabrycznego, aby się rozbudowały: właśnie na terenie parku, choć są tereny wolne wzdłuż ul. Srebrnej.

Zaplanowano przebiec ul. Sterlinga przez park Helenów, co nie obejdzie się bez zniszczeń w zieleni.

Wycięto kępę pięknych drzew na rogu Zamenhafa i Kościuszki. Zostanie zniszczona znaczna część parku im. Poniatowskiego, bo przez park ma przejść duża trasa komunikacyjna, poza tym — park ten jest terenem ekspansji dla WFF. Instytucja ta ma dwie możliwości: albo rozbudowywać się kosztem Łódzkiej Wytwórni Papierosów, która jako szkodliwa dla otoczenia winna być co rychlej przeniesiona gdzie indziej — albo kosztem parku. Jak słychać, więcej szans ma ta druga alternatywa.

Mamy w Łodzi żalony szczyłek dawnej puszczy łódzkiej, noszący szumną nazwę Rezerwatu Przyrody. Aby ten jedyny rezerwat usytuowany w Złotym Parku granicy usytuowano Dom Zasłużonego Włókniarza przy ul. Krzemienieckiej. Przeciw takiemu aktowi wandalizmu, przygotowanego w drodze długotrwałych studiów, protestowali radni na wspomnianym posiedzeniu Rady Narodowej, niestety, wandalizm ma tę wyższość nad zdrowym rozsądkiem, że stwarza fakty dokonane, których nie można odwrócić.

Jak wiadomo, istnieje w Arturówku dom wczasowy włókniarzy. Nie wiem, czy pomyśli, by włókniarze spędzali urlop w odległości 15 minut jazdy tramwajem od fabryki, jest pomysłem genialnym, czy też kiepskim; przypuszczam, że autorzy

tej koncepcji spędzają urlopy nad morzem. Obecnie planuje się budowę drugiego podobnego domu w tym samym miejscu. Istnieje tam możliwość wzniesienia budynku na pustym polu, przeznaczonym na zalesienie, a usytuowanym tuż obok lasu. Inwestorzy ze Związku Zawodowego uparli się jednak, że dom ma stać w lesie, w miejscu, w którym rośnie w tej chwili około 70 (słownie: siedemdziesięciu) dorodnych dębów. Wycięcie tych dębów nie będzie inwestora kosztowało ani grosza. Może więc sobie pozwolić na wycięcie znacznie większej ilości drzew.

Czy wolno łódzianinowi snuć marzenia, że jakoś dożyje czasu, gdy zostanie zrealizowana wspomniana wyżej uchwała Rady Narodowej, gdy więc znikną z powietrza źródła hałasu? Wolno. Ale w tym celu konieczne jest kategoryczne zachowanie obecnie istniejącego drzewostanu w Łodzi oraz szybkie zadrzewienie terenów nie przeznaczonych na zabudowę czy trasy komunikacyjne. Celowi temu może służyć z jednej strony dokonanie inwentaryzacji istniejącej zieleni, z drugiej — powołanie komisji dendrologów celem ustalenia ceny drzewa (drzewa, a nie drewna!) w sposób bardziej precyzyjny, niż to zaproponowano w artykule niniejszym.



Reima Tahvanainen (Finlandia) — „ZIEMIA ODDYCHA”

będzie atrakcyjność wzorów. Ale jeśli nawet można zgodzić się na taki optymizm, to rozsądnym byłoby przygotować projektantów do nadmiernego wysiłku, jaki ich już w niedalekiej przyszłości czeka. A tego przygotowania nie widzę.

Projektanci chcą nie tylko odpowiadać za wzór, ale i za jego realizację. Obecnie żadne zmiany rysunkowe, kolorystyczne czy techniczne nie są z nim uzgadniane. Projektanci są twórcami a n o n i m o w y m i. Nie wszędzie wprawdzie można zerwać z anonimowością, ale już na giełdach, kiedy wystawia się same projekty można bez żadnej trudności ujawnić nazwisko twórcy. Przeciwdziałaniem anonimowości mogłyby też być autorskie wystawy projektantów tkanin, dywanów, odzieży czy obuwi. Dawaloby to zarówno satysfakcję autorowi, jak i zmuszałoby do szacunku wobec jego twórczości, a ten szacunek potrzebny jest szczególnie w zakładzie produkcyjnym.

Produkt przemysłowy powstaje jednak z kolektywnego wysiłku. Będą więc dziedziny, gdzie twórcą będzie kolektywny, ale to nie może być argumentem za anonimowością. Przeciwnie,

nie stoi na przeszkodzie, aby ujawnić autorstwo zespołu, który stworzył produkt, u podstaw którego leży twórczość artysty. Projektant bowiem już w chwili przystępowania do pracy musi mieć zespół informacyjny, dostarczonych mu przez handlowców, techników i socjologów, musi wiedzieć dla jakich warunków projektuje i dla jakiego odbiorcy. Musi też mieć pewność, że wśród handlowców znajdują się również doradcy plastycy, którzy orientując się w aktualnych tendencjach artystycznych, mody, popytu i podaży, pomogą dokonać właściwej transakcji. Stąd dość powszechne wołanie projektantów o partnerów plastyków w handlu.

Projektowania nie można oderwać od wytwarzania. I dlatego wielu ludzi, którym sprawy przyszłości polskiego wzornictwa nie są obojętne, szuka różnych sposobów rozwiązania aktualnych konfliktów. Postuluje się np. powołanie tandemu, w skład których wchodziłby plastyk i technolog. Proponuje się rozbudowanie politechnicznego wykształcenia u projektantów i plastycznego przeszkolenia techników oraz organizatorów produkcji. Proponuje się też powo-

łanie teamów, które zrzeszałoby specjalistów od wzornictwa i przygotowania produkcji, a które dysponowałoby bieżącymi informacjami socjologicznymi, informacyjnymi, ekonomicznymi, psychologicznymi itp.

Która z tych propozycji gwarantuje najlepsze rozwiązanie? Trudno dziś na to odpowiedzieć, ale wszelkie próby wprowadzenia ich w życie byłyby — moim zdaniem — nie tylko wyrazem szukania sposobów rozwiązania problemów przemysłowego wzornictwa, ale też byłyby przygotowaniem przemysłu lekkiego do optymistycznie zapowiadanej przewagi podaży nad popytem. Optymistycznie, nie dlatego, że w ogóle nie wierzę w taką możliwość, a tylko dlatego, że sądzę, iż nastąpi to nieco później niż za owe dwa lata.

KTO KUPI WZÓR?

Trudno wyobrazić sobie sytuację, w jakiej wszystkie wzory każdego projektanta znajdują uznanie i zastosowanie w praktyce. Wydaje się jednak, że nawet odrzuć kilka z propozycji powinno gwarantować twórcy czy zespołowi twórców nie tylko satysfakcję moralną z wzorów przyjętych, ale i

materialną. Obecnie jest inaczej. Projektanci są uposażeni najniżej ze wszystkich grup zawodowych z wyższym wykształceniem i choć swoją pracą przyczyniają się do realizacji planów produkcji, sprzedaży i eksportu, to nie zawsze otrzymują premie eksportowe, a często premie w ogóle. Poza tym bardzo często projektanci otrzymują „prace zlecone”, które nie należy mylić z dodatkowymi. Otrzymują po prostu polecenie kopiowania niektórych wzorów zagranicznych. Tego typu praktyka jest konieczna jedynie wtedy, kiedy zagraniczny kontrahent składa zamówienie wyłącznie na swój własny wzór. Jest to jednak praktyka stosowana dość sporadycznie. Np. w ubiegłym roku w ZPB im. J. Marchlewskiego — „Poltex” w Łodzi na 253 wzory wprowadzone do produkcji, tylko 34 pochodziły od zagranicznych kontrahentów. Również niektóre zakłady przemysłu odzieżowego szją dla zagranicznych kontrahentów według z góry narzuconych wzorów.

Zło polega jednak na tym, że w niektórych przypadkach narzuca się projektantom bez większej potrzeby i uzasadnienia wzory, jakie

przedstawiciele przemysłu podpatrzyli w innych krajach, a którzy uważają, że ich skopiowanie pozwoli nadrobić opóźnienie występujące między produkcją naszego i zagranicznych przemysłów lekkich. Tego rodzaju postępowanie prowadzi prostą drogą do zlikwidowania własnej, oryginalnej twórczości wzorniczej, co w warunkach zmordernizowanego przemysłu lekkiego może przynieść nieodwracalne straty. Istnieje zatem potrzeba zmiany stosunku do rodzimych wzorów i uznania ich również za towar. Wzory niewykorzystane przez przedsiębiorstwa mogą być przedmiotem handlu zarówno w kraju, jak i za granicą.

Nie tylko projektanci, ale również specjaliści od handlu zagranicznego postulują organizację giełd wzorów. Łódź ma wszelkie szanse po temu, aby stać się centralnym „ośrodkiem wzornictwa dla przemysłu lekkiego, jak ma też szanse, aby stać się centrum handlu wzorami. W tym pierwszym przypadku bazą powinno stać się Muzeum Włókiennictwa oraz Instytut Projektowania Włókienniczego, jaki powinien powstać przy PWSSP. W tym drugim przypadku pa-

tronem mógłby być „Textilimpex”, który — jak twierdzą specjaliści — byłby w stanie szybko przekształcić giełdy wzorów w międzynarodowe targi dla krajów RWPG.

Dla spełnienia tych zamierzeń nie wystarczą jednak same postulaty. I nie wystarczy tylko o tym dyskutować, bo modernizacja przemysłu lekkiego postępuje naprzód mimo różnych trudności, przeszkód i „poślizgów”. Coraz bardziej zacieśnia się różnica między oknami wystawowymi i komisjami i sklepów dziwiarskich, włókienniczych czy odzieżowych, choć do pełnego wyrownania poziomu jeszcze daleko. Bywają jednak już cwaniacy, którzy bluzki „Olimpii” czy „Iwony” sprzedają z zagranicznymi metkami. Istniejącego jeszcze dystansu jakościowego między niektórymi dziedzinami „lekkiej wytwórczości” nie uda się pokonać, jeśli nie przygotuje się do pełnego wykorzystania twórczego potencjału krajowych projektantów przemysłowych. A to wymaga sporych zmian organizacyjnych w samym przemyśle. I od tych zmian nie będzie się on mógł uchylić.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

OD MARATONU DO ATEN

ROMAN GORZELSKI

PAMIĘCI JANUSZA KUSOCIŃSKIEGO

Twoje mięśnie odżywia rytm przypływu słowiańskiej
krwi

toczącej się brudami z serca ziemi
oto biała linia startu z zakrzepłą czerwienią biełni
cień samotności paraliżuje nogi zaciska w pięć palce
gdzieś umiera starzec a kobieta kolysze przestraszone
dziecko
ktoś ginie w katastrofie pociągu — w katastrofie wojny
a tu zaraz się zacznie bieg od Maratonu do Aten

Laurowe wieńce daleko za metą splatają owdowiałe
matki
i cudem ocalałe dziewczyny do których stukano pośród
nocy

a psy widłami kłów bronili ich ostatniego progu
nawet księżyc przed tym polowaniem

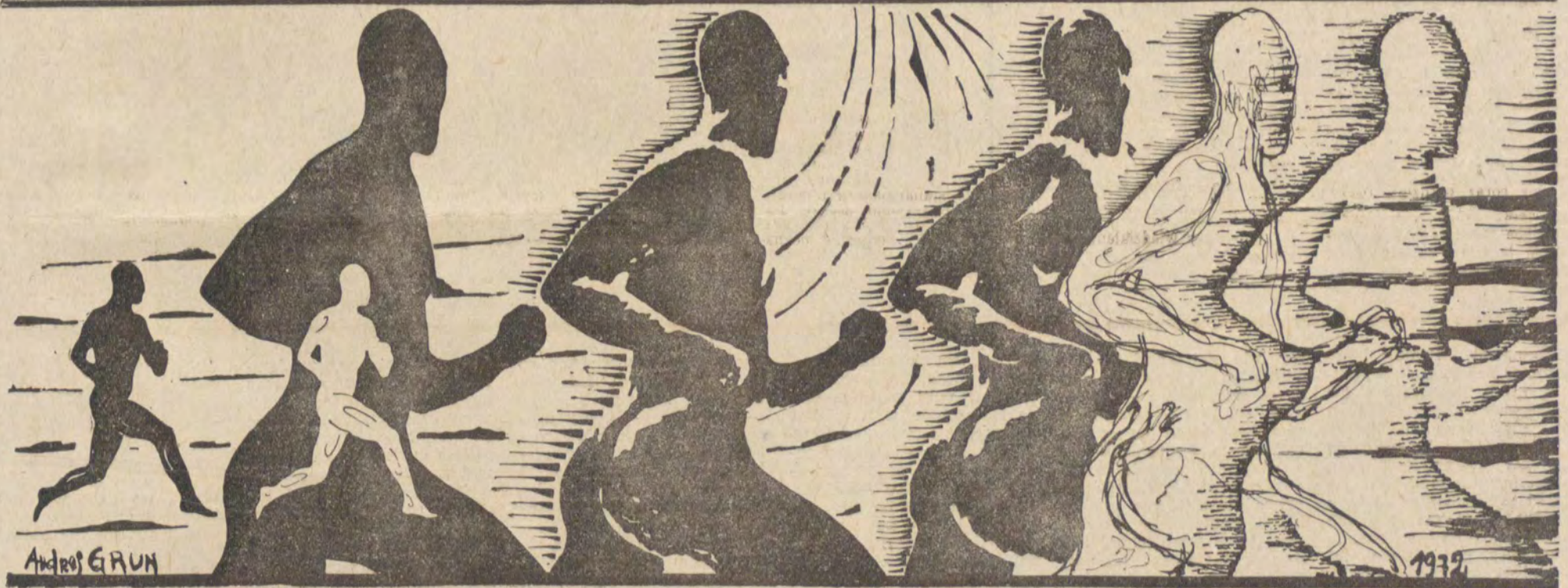
skrył się na dno zatrutej studni
już tylko jego wilgotna czaszka nowiem świeci
w rękach zabitej kobiety mdleje osierocony kwiat
w rozdygotanych oknach pieją oszalałe koguty nocy
i niedaleka jest gorzka prawda snu
o złamanej szpadzie i rozpedzonych na wiatr białych
koniach

— zaraz się zacznie bieg od Maratonu do Aten
Ile cierniowych niespodzianek wyczekuje przy drodze
pośród sosen i platanów w poście słońca
dającego życie za okup jasnej śmierci płaczącej
w wierszach
dziewczęta sypią płatki róż w procesji uwielbienia
dla piękna ludzkiego ciała i wolności myśli
— żołnierz w czarnym mundurze wziął je na cel
klękając —

jeżeli padniesz nikt cię nie potępi
a jednak musisz pokonać materię drogi i czasu
spryskanych przeciwko tobie
ale tego zwycięstwa nie odniesie strach
który sztyletuje twoją pamięć
— zaraz się zacznie bieg od Maratonu do Aten

Świat powoli schodzi pod ziemię rozpacz
wśród oszalałych fal palonego horyzontu
w dreszczach niepewności i lęku
brunatne maski sennych twarzy leżą po obu stronach
tras

teraz świat zanurza się w tobie po krawędzie oczu
zarzał gdzieś koń pędzącej bez woźnicy kwadrygi
lecz ty nawet za tysiąc lat dobiegniesz do wielkiej mety
by krzyknąć: zwycięstwo!
— zaraz się zacznie bieg od Maratonu do Aten



Przeszłość i terażniejszość

W przedmowie do książki George L. Mosse'a „Kryzys ideologii niemieckiej” wybitny historyk i politolog prof. Franciszek Ryśka zwrócił uwagę na niebezpieczeństwa, płynące z przyjmowania zbyt wąskiej perspektywy w naszych badaniach nad faszyzmem. Koncentrują się one mianowicie głównie na tych sprawach, które bezpośrednio dotyczyły nas samych. Nie chodzi oczywiście o to, aby zaprzeczać sensowi badań czy to nad wrześniem 1939 r., czy nad martyrologią narodu w latach okupacji, ruchem oporu czy tym wielkim czynem narodu, który stanowi bezpośrednią genealogię terażniejszości, nie chodzi też o kwestionowanie pokątnego dorobku, jaki zwłaszcza w ostatnich latach zyskaliśmy w tym zakresie. Historyk i humanista jest bardzo daleki od poglądów zarówno tych, którzy sądzą, że historia jest społecznie szkodliwą zawiadką, kulą u nogi dla pokole-

nia, które chce szybciej podążać w przyszłość, nie podziela też mniemań owych, którzy z rozmaitych względów nawołują do zaprzestania pisania o martyrologii. Przeciwnie, z całą mocą zwraca on uwagę na to, że związane z zawężeniem horyzontu niedostatki i zaniedbania w zakresie problematyki powszechnodziejowej — a te są u nas ewidentne — odbijają się wielce niekorzystnie na naszym własnym rozumieniu spraw polskich z niedawnej przeszłości, niejednokrotnie przesłaniając ogólniejsze aspekty historycznego dramatu Polski.

„Nie wolno nam zapominać — nie zawsze zaś chcemy o tym pamiętać — że nasza narodowa tragedia jest częścią wielkiej tragedii ludzkości; śmierć wszystkich ludzi, których krew wsiąkła w naszą ziemię: Polaków, Żydów, przedstawicieli różnych narodowości świata, śmierć pomordowanych i zamęczonych tak samo jak

tych, którzy polegali w sprawiedliwej walce — liczy się jednakowo i należy do powszechnej historii. W toku tej tragedii nabyliśmy szczególnych praw, by występować w imieniu całej ludzkości i sponiewieranych zasad ogólnoludzkich. I choć sporo

działać o własnych siłach”. Zanim badania, do których wzmoczenia nawołuje prof. Ryśka przyniosą rezultaty, musimy się zadawać surrogate w postaci tłumaczeń obcych dzieł historycznych. Przypnie tutaj trzeba, że w ostatnich latach wiele się w

tensje do doboru pozycji, nie ulega wątpliwości, że pośród nich znalazły się także dzieła wybitne, by przypomnieć choćby tylko prace Alana Bullocka, Ericha Fromma czy Geoffrey Barraclough. Do tej wcale już dziś długiej listy doszła nam teraz wielce interesująca i na pewno wybitna pozycja: książka George L. Mosse'a „Kryzys ideologii niemieckiej, Ródów intelektualny Trzeciej Rzeszy” (Czytelnik, 1972).

Autor jest Amerykaninem pochodzenia niemieckiego i należy do średniego pokolenia historyków swego kraju. Jest profesorem uniwersytetu w Wisconsin w Madison i dał się dotąd poznać jako badacz przede wszystkim okresu hitlerowskiego. Tym razem, w książce o kryzysie niemieckiej ideologii, postawił sobie niezmiernie ambitne zadanie ukazania intelektualnych i psychospołecznych korzeni faszyzmu w jego hitlerowskim wcieleniu, w nawiązaniu do nurtów ideowych rozwijających się w Niemczech co najmniej od przełomu XIX

i XX stuleci. Niezmiernie szeroko zakrojone badania doprowadziły go do ogólnych stwierdzeń, dotyczących z jednej strony typowości, z drugiej zaś specyfiki niemieckiego faszyzmu w porównaniu z innymi faszystami. Co się zaś tyczy metody, jest ona w tym dziele charakterystyczna dla wielu współczesnych badań czy amerykańskich: Mosse proponuje nam bowiem badania z pogranicza psychologii społecznej i historii, które jednak, mimo wszystkich swoich zalet, w jakiejś mierze zawisły w społecznej próżni, skoro nie zostały skonfrontowane z dziejami napięć społecznych o charakterze klasowym. O tych ostatnich jednak wiele powiedziała już historiografia marksistowska, nieźle przecież u nas znana. Książka Mosse'a nie jest lekturą łatwą i wymaga od czytelnika sporego przygotowania: pod tym warunkiem może stanowić zapładniającą przysgodę intelektualną.

JOZEF GRZELAK

Nowe spojrzenie na historię faszyzmu

jeszcze do przebadania i do wyjaśnienia, przecież nie wolno nam wylączyć się z procesu poznawania historii powszechnej albo oczekiwać, że włączymy się do tego procesu, kiedy będziemy już do-
statecznie przygotowani, by

tych zakresie zmieniło na lepsze: potrafiliśmy przewyciężyć lęki i obawy i ukazało się wcale sporo przekładów prac z historii najnowszej, pisanych przez obokrajowców. Chociaż czasem można by zgłaszać pre-

Półka z książkami

LEKARZ NA OLIMPIADZIE

ODLAMKI WSPOMNIEN

Wspomnienia z Olimpiad i zawodów sportowych pisywali już dziennikarze, sportowcy, trenerzy (np. Feliks Stamm), ale nie było jeszcze spojrzenia na sportowe zmagania przez pryzmat medycyny. I właśnie dr Zdzisław Zajęczkowski był najbardziej predestynowany do napisania takiej książki.

W ruchu olimpijskim Polski Ludowej uczestniczył od początku jeszcze wcześniej zaczynał karierę jako zawodnik. Był potem jednym z twórców powojennego ruchu sportowego, wiele też zawdzięcza mu polska medycyna sportowa.

Był lekarzem na Olimpiadzie w Helsinkach, Melbourne, Rzymie, Tokio i Meksyku. Ma więc dr Zajęczkowski masę doświadczeń, ma skalę porównawczą i — przede wszystkim — ogromną wiedzę medyczno-sportową. Dzięki temu jego wspomnienia nie zamykają się wyłącznie w kręgu olimpijskich przeżyć, lecz sygnalizują wiele innych problemów i zjawisk, charakterystycznych dla współczesnego sportu.

Znajdą się więc w tej książce rozważania o sporcie wyczynowym, o diecie i psychologii sportowca, problemie „pleć a sport”, „sport a macierzyństwo”, o chorobach „sportowych”, o dopingiu... A jednocześnie książka dr Zajęczkowskiego okraszona jest gęsto szeregiem reporterskich notatek z imprez, ciekawych, bo widzianych niebawem, po lekarsku. Są więc wrażenia nie tylko z Olimpiad, ale i Wyścigu Pokoju, z Bokserskich Mistrzostw Europy, z Festiwalu Młodzieży. Cała powojenna historia polskiego sportu, widziana okiem lekarza, zawarta jest na dwustu stronach tej ciekawej książki. Przeczytaj ją z zainteresowaniem nie tylko sportowcy i kibice, ale każdy, kto nie chce przejść obojętnie obok zjawisk współczesnego życia. Sport jest tym zjawiskiem i jego złożone problemy zasygnalizował w swojej książce dr Zdzisław Zajęczkowski.

Zdzisław Zajęczkowski „Wspomnienia lekarza olimpijskiego”, Sport i Turystyka, cena 15 zł.

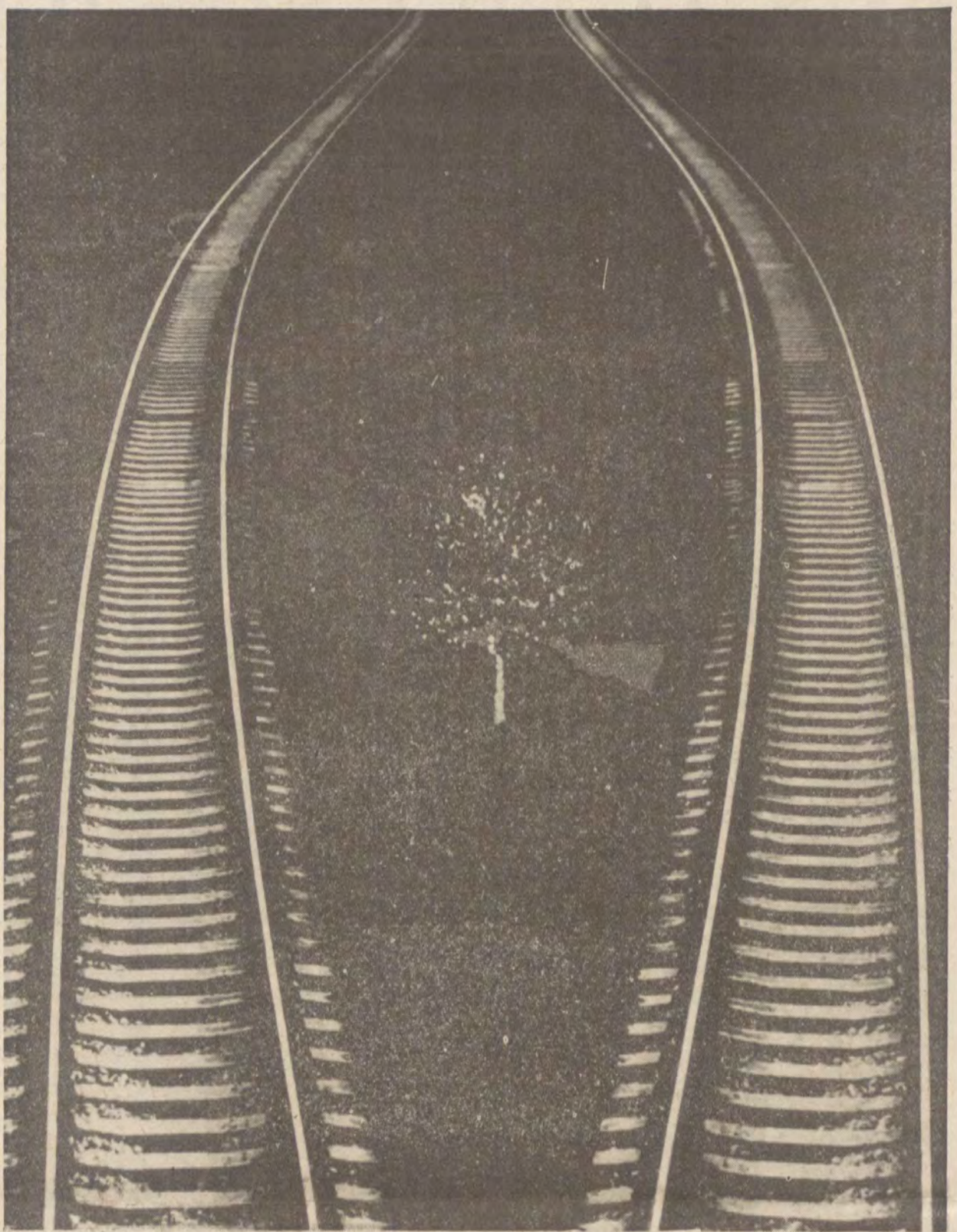
Krakowskiej wydawca i bibliofil, Wiktor Frantz, rozpoczął swoje wspomnienia słowami: „Pamięć jest jak dziurawe rzeszoto”. Z pewnością to prawda, ale książka temu przeczy. „Odlamki wspomnień” są bowiem nieocenionym źródłem wiedzy o marginesowych nieraz sprawach książki, literatury i dziennikarstwa... Literacki Kraków i Lwów sprzed I i II wojny światowej, głośne potyczki literackie, mało znane epizody i fakty — stowem lektura pasjonująca dla miłośnika książki.

Jak wykladał profesor Kucharski, kto napisał słowa piosenki „Ponie ognisko”, jakie tajemnicze kryje w sobie tekst „Pana Tadeusza” czy jest możliwe odtworzenie partii szachów ze znanego poematu Jana Kochanowskiego? Powie ktoś, że to marginesy literackich docieków, ot, takie pigonowskie „Mile sercu drobiazgi”. Może, ale dzięki nim wspomnienia Wiktora Frantza czyta się prawie jak sensacyjną powieść — tym ciekawszą, że nie zmyślona.

Jest zresztą w tej książce wiele egzotyki. Autora w młodości fascynowała Mongolia — nawet pracę dyplomową pisał na temat szamańskich bóstw Mongołów. I jest w tej książce uymykający nieublaganie czas. Oto Frantz był uczniem prof. Kotwicza, podobnie jak prof. Lewicki. Uczniem Lewickiego jest z kolei Stanisław Kałużyński, który polskiej literaturze przyswoił jakże dziś głośną książkę „Tajna historia Mongołów”.

Co chwile spotykamy na kartach tych wspomnień nazwiska znaczące w nauce i literaturze polskiej. Wiktor Frantz mało pisze o sobie — więcej o ludziach z którymi się stykał: o Tadeuszu Hollendrze, o Karolu Kuryluku, Profesorach — Kotwiczu, Lewickim, Smogorzewskich, Stasiaku... O czasie, który minął i który tak pięknie się łączy z dniem dzisiejszym. J. W.

„Odlamki wspomnień Wiktora Frantza”, Wyd. Literackie, 1972, cena 25 zł.



Szanowny Panie Ministrze, muszę uczynić wyznaczenie, które, jak sądzą, nie przysporzy mi przychylności w Pańskich oczach. Sytuacja ta również i dla mnie nie jest najprzyjemniejsza, niech mnie jednak choć w części usprawiedliwi fakt, że bardzo długo nie dawałem sobie szans na stworzenie możliwości powiedzenia tej brutalnej prawdy. Podróżowałem mianowicie samolotami Aeroflotu, samochodami swych znajomych przyjaciół. Chodziłem pieszo, rujno wałem się na taksówkach. Aż nadszedł dzień, kiedy nie mogę już dłużej zatrzymać w sobie tego wyznaczenia i muszę powiedzieć wprost: bardzo Pana nie lubię, Panie Ministrze. A wynika to stąd, że zmuszony byłem ostatnio korzystać z usług podległych Panu Polskich Kolei Państwowych.

A teraz opiszę Panu, Panie Ministrze, słowem skąpym i surowym podróż, którą odbyłem na trasie Gdańsk — Warszawa.

Podróżowałem do Warszawy — choć mieszkam w Łodzi — nie dlatego, że gnały mnie tam niecierpiące zwłoki sprawy. Nie. Pan nie lubi mojego miasta. Panie Ministrze (co można udowodnić z rozkładem jazdy w rękę), w związku z tym pociągi tu kursujące są najstarsze, najpowolniejsze, najbrudniejsze, ale za to bardzo rzadkie. Dlatego nie dostałem się do pociągu łódzkiego i zmuszony byłem jechać do Warszawy. Przez cały czas towarzyszyło mi tylko jedno marzenie: aby Pan jechał wraz ze mną.

Choć żałuję, że nie widział Pan tego tłumy, który tratując co słab-

szę jednostki wdarł się do wagonów. Ja — niesion przez ludzką falę — znalazłem się tam również. I rzuciwszy bagaż na półkę, usiłowałem wy dostać się z wagonu, aby lojalnie zawiadomić konduktora, że nie mam biletu. A nie miałem biletu, Panie Ministrze, dlatego, że w przestronnej hali dworca gdańskiego falowały malowniczo „ogonki”, długości wprost niewiarygodnej. Tak, ma Pan rację, wszystko to działo się w okolicy pierwszego. Jestem świadom także faktu, że od lat już powtarzane są ostrzeżenia, aby wtedy właśnie nie wyjeżdżać na urlopy.

Wiem także, że apeluje się wielokrotnie do zakładów pracy, aby nie udzielały urlopów w tych „okrągłych” terminach. Ale mimo tej wiedzy mogę wziąć na siebie tylko część winy. Bo, proszę sobie wyobrazić, Panie Ministrze, że w innych krajach ludzie też urlopują i też podróżują w tych terminach. A przecież mimo to nigdzie nie widzi się takich dantejskich scen, jak u nas. Bo w tych innych krajach wiedzą, że pociąg, choćby najdłuższy, ma jednak tylko określoną ilość miejsc. Natomiast u nas, Panie Ministrze, pańscy ludzie bez zmużenia oka sprzedają 32 miliony biletów na jeden pociąg. I Pan mi nie udowodni dwóch rzeczy: po pierwsze — tego, że to jest nieprawda, a po drugie — tego, że to nie jest bałwanstwo. Wróćmy jednak do mojej podróży. Ośmiometrową przestrzeń korytarza pokonałem w czasie, którego pociąg potrzebuje na przebycie trasy Gdańsk — Tczew. Tam wysiadłem i udałem

się biegiem do wagonu restauracyjnego. To znaczy takiego wagonu, który znajduje się prawie wyłącznie w składach pociągów warszawskich. Pozostali mieszkańcy tego kraju, a jest ich jednak większość — mają (ogromnie rzadko) do dyspozycji tzw. bufety, które w wydaniu PKP są czymś przerażającym oraz zeschnięte kanapki przyrządzone w domu. One są w domu przygotowane z świeżych produktów, ale ponieważ pociągi u nas należą do najpowolniejszych w świecie, więc się

Szanowny Panie Ministrze

te kanapki w czasie podróży zsiychają. Panie Ministrze. Kiedyś, u zarania naszej rzeczywistości, byli tacy ludzie, którzy roznosili jedzenie i picie. Można ich było spotkać na większych stacjach. Dziś ich już nie ma. Ale wróćmy do wagonu restauracyjnego.

Było w nim stosunkowo luźno, toteż właśnie tam znajdował się konduktor. Kiedy mu zameldowałem, że jadę na gapę — uśmiechnął się zachęcająco. A ruble? — zapytał rubasznie. Miałem i wręczyłem. Pański człowiek, Panie Ministrze, okazał się być zwolennikiem

humoru abstrakcyjnego, co wyraziło się tym, że zapytał, którą klasę chcę jechać — pierwszą — li, czy drugą. Zgodnie z prawdą odparłem, że to przecież wszystko jedno. Wtedy pański człowiek schował pieniądze (200 złotych) i zadał pytanie nr dwa: — a bilecik piśać? Wiem, zachowałem się w sposób nieobywatelski. Powiniennem odpowiedzieć, że tak, przyjął bilet i zażądał reszty. Ale dlaczego właśnie ja mam wyglądać na to antyhumanitarne bydlę, które nie da żyć, nie da

wygodne miejsce, wdzięczność i cokolwiek oszczędza na przejeździe, pański człowiek otrzymuje ekwiwalent za życiowe podejście do zagadnienia, który to ekwiwalent jest z reguły nieco niższy od ceny biletu. W ten sposób wszyscy są zadowoleni i nikt na transakcji nie traci. Z wyjątkiem państwa, lecz jest to przecież twór abstrakcyjny — przynajmniej dla pewnego rodzaju umyśłów. Wróćmy jednak, Panie Ministrze, do wagonu restauracyjnego.

Otóż był on integralną częścią polskiego systemu kolejnictwa, co poznałem po tym, że pasażer nie ma w nim żadnych praw, ma natomiast wiele obowiązków. Moim obowiązkiem było konsumowanie, bo przecież tylko konsumowanie — wg przepisów — umożliwiło mi jazdę w pozycji siedzącej. Zamawiałem więc wytworne i drogie potrawy (choć potrafię się bez nich obejść), piwo, (nie przepadam), a nawet wódkę (choć nie miałem akurat ochoty). Te szaleństwa kulinarne zyskały mi aplauz obsługi. Niestety. Nic, co piękne nie trwa długo. Toteż po upływie półtorej godziny dano mi do zrozumienia, że jestem tu osobą niepożądaną. Do swojego wagonu przejść nie mogłem. Krótka, lecz energiczna przebieżka po peronie jakiejś stacji zaprowadziła mnie w jego pobliże. Miotany — dosłownie i w przenośni — dosłownie, bo jechałem w harmonijce między wagonami, a w przenośni — bo nie wiedziałem, czy mój bagaż jeszcze jedzie, czy wysiadł gdzieś po drodze, spędziłem następne półtorej godziny. Po czym — ciało lu-

dzkie jest mdle, Panie Ministrze, zbyt mdle, jak na Polskie Koleje Państwowe — przebiegłem w stronę odwrotną. I znów znalazłem się w wagonie restauracyjnym. I znów — pomny swych praw i obowiązków — zamiawiałem, jadłem i piłem. I już mi nie smakowało. Nie dlatego, że byłem syty. Również i dlatego, że znaczną część gości stanowiła grupa młodych ludzi. Zawsze się zastanawiałem, w jaki sposób może się pomieścić w człowieku, który ma ograniczoną pojemność, tyle piwa. Tyle piwa, wulgarności i energii. Pańscy ludzie, Panie Ministrze, podawali to piwo bez wahania.

Dojechałem, mimo to, do Warszawy. Mimo wszystko mój bagaż tkwił na półce. Mimo wszystko żyję. Ale chciałbym, abyśmy wyjaśnili sobie, Panie Ministrze, nasze wzajemne stosunki. Koszty biletu, pociąg pośpieszny II klasy z Gdańska do Warszawy, wynoszą 115 zł i 20 groszy. Z tamtych więc 200 należy mi się 84 zł i 80 gr. Koszty niepotrzebnej konsumpcji — lekko licząc — 100 zł, reszta niech idzie na karb mojego łakomstwa. Koszty podróży z Warszawy do Łodzi (przecież od początku chciałem do Łodzi!) — 60 zł 80 groszy. Jest mi Pan winien, Panie Ministrze, 245 zł i 60 groszy.

Ja zaś ze swej strony obiecuję Panu, że z pozostających pod pańskimi rządami środków komunikacji będę korzystał tylko w wypadkach skrajnej, ostatecznej konieczności.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Każdy z nas przynajmniej raz w roku wybiera się w bliższą lub dalszą podróż. Bliższą — do któregoś z miast województwa lub do stolicy. Dalszą — nad morze, w góry, nad mazurskie jeziora lub za granicę. Podróż zaczyna się w chwili, kiedy wychodzimy z mieszkania z torbą podróżną czy walizkami w rękę. Potem jest przystanek tramwajowy, albo postój taksówek i pierwszy etap podróży kończymy na dworcu kolejowym.

W jakich warunkach przychodzi nam podróżować? Jak funkcjonuje PKP? Na ten temat wszyscy mamy spory zapas wiedzy. W czasie urlopowych i świątecznych szczytów w gazetach ukazują się listy zmaltretowanych w podróży czytelników i wynurzenia zdenerwowanych publicystów. Ponieważ uwagi podróżnych nie zmieniają jednak jakości kolejowych usług, pasażerowie PKP nadal skarżą się na złe połączenia, tłok i niewygodę w pociągach. Zostawmy więc w spokoju perypetie w wagonach i zatrzymajmy się w miejscu, gdzie każda podróż koleją rozpoczyna się i kończy — na dworcu kolejowym.

1.

Ile w Łodzi jest dworców kolejowych? To pozornie proste pytanie, już po chwili zastanowienia nasręca poważne trudności. Stacji i przystanków, gdzie zatrzymują się pociągi osobowe jest siedem: Łódź Fabryczna, Kaliska, Chojny, Niciarniana, Włdzew, Żabieniec i Olechów. Ale która z nich naprawdę zasługuje na miano dworca?

BOGDA MADEJ

KONCERT DLA GŁUCHYCH

Złośliwi utrzymują, że Łódź ma jeszcze dwa dodatkowe dworce — w Kutnie i Kozłuskach. Przy czym tylko jeden z nich, ten w Kozłuskach, jako tako się prezentuje. W tej złośliwości jest sporo racji. Wystarczy przestudiować rozkład jazdy PKP, aby przekonać się, że z łódzkich dworców można bezpośrednio pojechać „Pomorzaninem” do Gdyni, „Odrą” do Wrocławia, „Włókniarzem” do Szczecina, „Bochemią” do Pragi czeskiej i expresem do Paryża. Poza tym można udać się do Zakopanego, Warszawy, Olsztyna, Rzeszowa, Krynicy, Elku, Katowic i Lublina.

Najważniejsze połączenia łódzianie muszą jednak łapać na swoich daleko wysuniętych kolejowych forpocztach. Właśnie w Kutnie i Kozłuskach. W Kutnie — 68 km od Łodzi — trzeba przesiadać się na krajowe ekspresy: „Lecha”, „Błękitną falę”, „Kujawiaka” i „Wartę” oraz na zagraniczne: „Berolinę”, „Ost-West-Express” i pociągi kursujące na trasie Berlin — Warszawa — Moskwa — Leninogród. W Kozłuskach — 27 km od Łodzi — łódzianin może się przesiadać na inne krajowe ekspresy: „Opolanina”, „Górnika”, „Chemika” i „Tatry”, a także kiedy chce jechać „Chopinem” do Wiednia, „Polonią” do Belgradu, „Nord-Orientem” do Bukaresztu i Warny.

Do Kozłuszek można dostać się łatwo. Co kilkanaście minut kursują lokalne pociągi. Ale do Kutna podróż jest już długa i męcząca, trzeba aż półtorej godziny na pokonanie 68 km. I chociaż łódzianie często korzystają z usług tych dworców, to nie dajmy wiary złośliwcom. Nie są to dworce łódzkie. Mieszkańcie miasta, które wkrótce osiągnie milion ludności, musi mieć wygodny dworzec na miejscu.

A co ma teraz?

2.

Strach ogarnia człowieka, gdy pomyśli, że będzie musiał późnym wieczorem lub wczesnym rankiem wysiąść na CHOJNACH. Do najbliższego postoju taksówek jest chyba z kilometr pieszko, bo konia z rzędem temu, kto złapie taksówkę na formalnie tylko istniejącym postoju dworcowym. Podróżni z większymi bagażami, po których nikt nie wyjechał, rezygnują z wyprawy po taksówkę już na pętli tramwajowej, do której też jest zresztą spory kawałek drogi. W budyńeczku między torami, który z trudem udaje dworzec, nie ma ani urządzeń sanitarnych, ani kiosku „Ruchu”. Za to w kiosku spoży-

czym jest piwo. A przecież tu zatrzymują się i stąd ruszają pociągi dalekobieżne. I chociaż w każdym nowym rozkładzie jazdy PKP jest ich coraz mniej — ostatnio np. wrocławską „Odrę” skierowano przez Łódź-Kaliską — to stacji Chojny nie da się chyba tak szybko wyeliminować z ruchu dalekobieżnego.

DWORZEC KALISKI jest stary, niefunkcjonalny i brzydki, choć jest to największy dworzec znajdujący się w obrębie miasta. Nie gwarantuje on jednak podróżnemu minimum odpoczynku w przerwie między jednym a drugim połączeniem, ani nie daje należytej chwili wytchnienia po podróży. Gdyby ktoś wzorem Wojciecha Młynarskiego chciał spędzić niedzielę na Kaliskim, serdecznie bym mu to odradzała. Byłaby to straszna niedziela. Nic więc dziwnego, że pasażerowie korzystający z usług Łódzi Kaliskiej jak najszybciej opuszczają ten dworzec.

Tę atmosferę czują chyba i sami gospodarze Kaliskiej. Ostatnio słyszałam, jak pouczano tam przez megafon pasażerów, że czystość dworca zależy od ich postępowania i troski. PKP dość często dla odwrócenia uwagi od niedomagań własnych, zajmuje się wychowywaniem pasażerów. I nie można byłoby kolejarzom mieć tego nawet za złe, gdyby pomyśleli i o tym, że podróżny chciałby na przykład kupić jakąś pamiątkę, o której wcześniej zapomniał, lub wyjść na peron z kwiatami. Nie ma tu kawiarni, a w nieprzytulnej restauracji dworcowej jada się tylko w ostateczności i byle szybciej.

DWORZEC FABRYCZNY od lat jest w przebudowie i coś konkretnego o jego funkcjonowaniu można będzie powiedzieć dopiero za rok. Jeśli oczywiście wykonawcy dotrzymają terminu. Aktualnie

dworzec ten jest kasą biletową dla PKP i PKS. Rolę restauracji i kawiarni dworcowej pełni stary wagon restauracyjny, ustawiony na bocznicę oraz kioski, w których głównym artykułem jest piwo i słodycze. Niekiedy bywają jeszcze kanapki dla podróżnych, czasem nawet świeże.

Rejestr łódzkich dworców byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć jeszcze o OLECHOWIE, który jest tylko przystankiem dla mieszkańców osiedla o tej samej nazwie, ŻABIENCU, który ma dopiero szansę, aby być dworcem dla zachodniej części Bałut i dwóch przystankach na trasie Łódź — Kozłuski — NICIARNIANEJ I WIDZEWIE.

Po tej „analizie” można już odpowiedzieć na pytanie, ile w Łodzi jest dworców kolejowych? Formalnie — trzy. A faktycznie?

3.

Łódź — przyszłe centrum ŁÓDZKIEJ AGLOMERACJI MIEJSKIEJ — powinna mieć przynajmniej jeden przyzwoity, centralny dworzec. Taki z prawnego zdarzenia. Taki, który mógłby być elegancką wizytówką miasta. Z tego, co udało mi się dowiedzieć w Ministerstwie Komunikacji wiem, że taką rolę ma w przyszłości pełnić DWORZEC KALISKI. Oczywiście nie w takiej postaci jak obecnie. Już w 1973 roku mają rozpocząć się wstępne prace, przygotowujące jego generalną modernizację. Rok 1976 przyjmuje się jako ostateczny termin przekazania do użytku zmodernizowanej Kaliskiej.

W aktualnych założeniach przewiduje się generalną przebudowę starego budynku, w którym znajdują się lokale gastronomiczne i — miejmy nadzieję — niezbędne dla podróżnych usługi. Z dachu starego budynku zniknie, na szczęście nie zabytkowa, wieżyczka z zegarem. Znikną także drewniane baraki, sterczące dziś po obu stronach schodów. Od frontu stanie nowy pawilon ze szkła i stali z kaskami biletowymi i przejściami na osłonięte od deszczu perony. Do przebudowanej Kaliskiej można będzie wchodzić zarówno od strony Al. Unii i ul. Towarowej.

Przyszłą modernizację Dworca Kaliskiego PKP rozważa w kontekście planowanej linii średnicowej, która łączyłaby Kozłuski z Łodzią Kaliską. W tym też kontekście potraktowano modernizację DWORCA FABRYCZNEGO, który podobno ma służyć miastu jeszcze przez najbliższe 15–20 lat. Ten między innymi argument zadecydował o fakcie, że

Dworzec Fabryczny został poddany generalnemu remontowi starych murów. Początek remontu to 1969 rok. Jego koniec przewidziano na rok przyszły. Z tych przydługich terminów wynika, że bałagan na Fabrycznym łódzianie powinny potraktować nie jako zwykły remont budynku użyteczności publicznej, ale jako wydarzenie historyczne. Z należytą powagą i spokojem. Bo kolej potraktowała remont dworca Fabrycznego jako poligon doświadczalny dla przyszłej modernizacji dworca Kaliskiego. I rzeczywiście doświadczeń zebrano sporo. Już w tej chwili można sformułować generalny wniosek, który w praktyce inwestycyjnej nie powinien być żadnym odkryciem — tego typu przedsięwzięcie trzeba przygotowywać znacznie wcześniej i to zarówno dokumentację, odpowiednie limity dla wykonawców, jak i ich właściwy dobór. Nie mówiąc już o sprzęcie i materiałach budowlanych. Z doświadczeń przebudowy dworca Fabrycznego wynika też inny wniosek, że taką sprawą musi się wcześniej i wnikliwie zainteresować miasto. W przeciwnym razie, tak jak to ma miejsce na Fabrycznym, za naukę i doświadczenia zbierane przez kolej płaci pasażer.

Ponieważ jesteśmy niemal w przededniu modernizacji dworca Kaliskiego, warto się chyba zastanowić, czy nie należałoby już teraz rozpocząć publicznej dyskusji na jej temat. Bo może się znów powtórzyć historia z polemiką dotyczącą dworca Fabrycznego, kiedy to poddano w wątpliwość sens remontu starych, pamiętających jeszcze czasy kolei wiedeńsko-warszawskiej, murów. W sporze tym pracownicy PKP są przekonani, że to oni mają rację, ich przeciwnicy do dziś pod znakiem zapytania stawiają funkcjonalność nowego dworca w starych murach. A główny wykonawca — MIEJSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO REMONTOWO-BUDOWLA-

4.

NE NR 1 — łamie sobie głowę nad tym, jak podjąć zadanie, do wykonania którego nie było przygotowane i jak dogadać się z podwykonawcami, żeby dotrzymać terminów ukończenia prac.

Zdaję sobie sprawę, że podejmując ten ważki dla podróżujących łódzian temat, dotknęłam zaledwie kilku problemów i nie odpowiedziałam na wiele pytań i wątpliwości. Oł, choćby, jak to naprawdę będzie z tym dworcem Fabrycznym za 15 lat, co będzie z koleją średnicową, jak rozwiąże się połączenie nowego dworca Kaliskiego z siecią dogodnych stacji kolejowych w mieście, co będzie z chałupką, udającą dworzec na Chojnach, kiedy i czy w ogóle Chojny otrzymają porządne urządzenia sanitarne dla podróżnych i wreszcie, kiedy łódzianie przetrzymają pierwszy dworzec z prawdziwego zdarzenia?

A nie odpowiedziałam na te pytania dlatego, że po prostu nie wiem.

Okazało się bowiem, że remont dworca Fabrycznego dał kolejarzom jeszcze jedno doświadczenie. Po ostrej prasowej polemice z ich koncepcjami, doszły do wniosku, że nie ma co z laikami rozmawiać, bo i tak napiszą to, co myślą, a co kolejarzom może się nie podobać. Z rozmowy z dyrektorem Departamentu Inwestycji Ministerstwa Komunikacji dowiedziałam się o ogólnych założeniach dworcowej przyszłości Łodzi. Po szczegółowe wyjaśnienia miałam się zgłosić do naczelnika oddziału budynków PKP w Łodzi. I tu na miejscu usłyszałam najpierw kilka przykrych, acz ubranych w dyplomatyczne ozdobniki, opinii o dziennikarzach, a następnie obiecano mi niezbędne informacje dostarczyć na piśmie. Żebym jako laik niczego przypadkiem nie poplątała. Ta forma współpracy z dziennikarzem od początku wydała mi się podejrzana, ale wyboru nie było. Ustaliliśmy termin dostarczenia mi pisemnej informacji, ale tak jak w przypadku terminu remontu dworca Fabrycznego, i ten okazał się grubo nierealny. Kilkakrotnie przypominałam telefonicznie o zobowiązaniu panów z PKP, wreszcie postanowiłam spokojnie czekać. I czekam do dziś.

Moje kontakty z PKP mnie również dały pewne doświadczenia. Potwierdziły dawno znany pogląd, że kolej najlepiej wie co robi. Trudno jakoś zgodzić się z takim stanowiskiem, bo gdyby jednak polieżyć, ilu jest pracowników PKP i ilu podróżnych, to okaże się, że ci pierwsi są nie tylko w mniejszości, ale i pracują dla tych drugich. No i choćby dlatego, że nieszczęsne dworce łódzkie są sprawą, która obchodzi nas wszystkich, bo wszyscy jesteśmy pasażerami. Niestety.

Warmińska przygoda



WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Z przyjemnością obserwuję rozwój Wydawnictwa Łódzkiego w dziedzinie literatury dla młodzieży. Są to książki zazwyczaj poszukiwane na rynku, chociaż pomijane w szerszym milczeniu przez krytykę. Staramy się w „Odgłosach” od pewnego czasu przelać ten niemądry obyczaj, tym bardziej, że łódzcy pisarze coraz częściej sięgają po tematykę młodzieżową. Dość przypomnieć nazwiska Teresy Gabryśiewicz-Krzysztofikowej, Zofii Lorentz, Edwarda Kopczyńskiego, Igora Sikiryckiego, Ewy Ostrowskiej czy Włodzimierza Piotrowskiego. Toteż wypada się cieszyć, że ostatnio przybyła nam nowa, interesująca pozycja. Jest nią powieść znanego i cenionego prozaka, Wiesława Jażdżyńskiego,

który debiutuje jako autor młodzieżowy. Jego książka „Czuwajcie w letnie noce” spełnia wszystkie walory ambitnej literatury przygodowej i jak to się popularnie powiada: wciąga, myśli więc, że nie uchroni się przed nią także czytelnik dorosły. Tym bardziej, że mimo trzymającej w napięciu akcji, powieść tryska humorem.

Jażdżyński wybrał klasyczny kanon opowieści przygodowej: jest w niej bowiem sięgająca w daleką przeszłość legenda o skarbach, są tajemnicze lochy, zaspane studnie, są wreszcie liczne przeszkody, które dzięki pomysłowości i odwadze młodocianych bohaterów daje się ostatecznie pokonać. Są także wakacje i obóz harcerzy z Łodzi na Ziemi Warmińskiej, gdzie rzecz cała się rozgrywa.

Jako punkt wyjścia przyjął Jażdżyński jeden z epizodów oporu Warmiaków przeciw pruskiej polityce germanizacyjnej. W junkier-

skich dobrach von Ritterhornów krąży wśród ludu przekazywany potajemnie od pokoleń srebrny krzyżyk. Ma on, według legendy nie tylko moc uzdrawiania kalekich i chromych, ale dawał również siłę do przetrwania, do zachowania polskości.

— Taka była zemsta Ritterhorna — opowiada autochton, Kramer. — Zabrać polski krzyżyk i pochować raz na zawsze w pruskiej trumnie, żeby już nigdy nam nie służył!”

Legend nie należy lekceważyć, jak to udowodnił swego czasu archeolog Schliemann, prowadząc od r. 1871 prace wykopaliskowe na wzgórzu Hissarlik, dzięki czemu odkrył dzieł w warstwach osadniczych Troi. W powieści Jażdżyńskiego potwierdza się legenda zapamiętana przez starego Kramera: dwie grupy młodych ludzi, działające niezależnie od siebie, odkrywają tajemnicze przejście do podziemi w kaplicy Ritterhornów i docierają do

srebrnej trumny. Harcerze chcieliby srebro przekazać na odbudowę Zamku Królewskiego, grupa konkurencyjna przywłaszczycie sobie. Nie trudno odgadnąć, kto zwycięży w tej walce. Jest jeszcze wątek dodatkowy: odkrycie podziemnych umocnień Wehrmachtu przez dyrektora pegeru, które wykorzystane zostaną do składowania owoców.

Ale te wszystkie perypetie i przygody są tylko pretekstem do ukazania polskiej przeszłości Warmii i jej teraźniejszości. Ten wątek nadrzędny, patriotyczny, wiąże wszystkie epizody w zwartą całość i on stanowi najwyższą jej wartość. Warmińska przygoda wakacyjna łódzkiej harcerzy to przekonywujące spotkanie z Polską.

KONRAD FREJDLICH

Wiesław Jażdżyński: „Czuwajcie w letnie noce”, Wydawnictwo Łódzkie, 1972, Projekt okładki i ilustracje Witolda Kalińskiego.

„ŁÓDŹ I PIÓRO”

Tytuł tej książki dużo obiecuje. Treść nie sprawia zawodu. Edward Kozikowski na prawie czterystu stronach drukuje ciekawe wspomnienia o pisarzach związanych w jakiś sposób, często nawet bardzo przelotny, z Łodzią. Wspomnienia — te marzenia ludzi starszych — zawierają zwykle w sobie nutkę gorzkiego żalu i nostalgii („Myślę o tym, jak okrutnie jest życie. W zapomnieniu pozostawia tych, co odeszli, ich ofiarną pracę całego życia i oddanie ideałom”), ale zarazem i rozkosz osobliwej satysfakcji („Wszyscy, znający tamte czasy jedynie z opowieści, nie rozumieją i pojąć nawet nie potrafia, o ile czujemy się od nich szczęśliwsi, że dane nam było obcować z tak ciekawymi ludźmi, po których dziś pozostała jedynie legenda”).

Możliwe, że autor ma rację, iż ludzie, z którymi obcował, byli ciekawsi, barwniejsi, oryginalniejsi, niż zdarza się to obecnie. Czasem też odnoszę wrażenie, że te-

raz sztancą urabia się osobowości. Ale jak sobie pomyśleć, że za trzydzieści parę lat Jurek Wilmański będzie pisał wspomnienia o ludziach pióra, z którymi stykał się na przelomie lat siedemdziesiątych, to wyobrażam sobie, że również będzie mógł napisać mniej więcej w ten sposób: „Wszyscy, znający tamte czasy jedynie z opowiadań, nie rozumieją i pojąć nawet nie potrafia...”

Oj, nie będą mogli pojąć pewnych rzeczy. Galerię pisarzy, których prezentuje nam Kozikowski, otwiera Zygmunt Bartkiewicz, autor „Złogo miasta”, notabene pierwszy mąż zmarłej niedawno Mieczysławy Cwiklińskiej. Potem kolejno idzie korowód znakomitych postaci sprzed pół wieku: Ignacy Dąbrowski, Bolesław Gorczyński, Jerzy Jankowski, Bolesław Leśmian, Jan Lorentowicz, Tadeusz Miciński, Maria Morozowicz-Szczepkowska, Tadeusz Nalepiński, Władysław Stanisław Rey-

mont, Antonina Sokolicz (Antoni Noskolicz), Antoni Szandlerowski, Cecylia Walewska, Witold Wandurwski i Kazimierz Wroczyński.

Z tymi właśnie ludźmi autor książki znalazł się nie tylko z widzenia, lecz osobiście, choć nie zawsze zbyt blisko. Znajomość tę po wielu latach zdyskontował w sposób pozytywny i sympatyczny. Po prostu pisząc o tych ludziach z nadzieją, że oddali ów dzień, w którym nazwiska ich pójdą w całkowitą niepamięć. Sylwetki pisarzy skreślone są interesująco, zręcznie i niebanalnie. Czuje się dobrą robotę literacką doświadczonego pisarza, któremu słowo nie sprawia trudności. Wypada podkreślić, że rzecz napisana jest dyskretnie, nie stanowi pretekstu do eksponowania własnej osoby autora, jak to się często zdarza w tego typu wspomnieniach, zwykle nieco podkoloryzowanych.

Przykre to, lecz niestety, prawdziwe, że oprócz Leśmiana, Micińskiego, Reymonta czy Wandurskiego — reszta nazwisk występująca na kartach tej książki niewiele już mówi zwykłym czytelnikowi. A przecież były to kiedyś tegie pióra krajowego forma-

tu. W młynie historii literatury mieści się prawie wszystkie książki razem z ich autorami na miał zapomnienia, ostają się za ledwie jednostki wybitne i dzieła bardzo wybitne.

Smutna jest ta książka z innych jeszcze względów, wcale przez autora nie zamierzonych. Otóż jej bohaterowie, znakomici pisarze, publicyści, redaktorzy, którzy swe życie świadome zaczęli przed I wojną światową, a kończyli przeważnie w czasie II wojny światowej, właściwie wszyscy odchodzili w sposób tragiczny. Są to w ogóle postacie tragiczne, w dodatku, poza nielicznymi wyjątkami, zapomniane i niedocenione. Nasuwa się tu szersza refleksja, że życiorysy wszystkich wybitniejszych Polaków nie są optymistyczne. Inna sprawa, że może życiorysy wszystkich wybitnych ludzi na świecie nie są wesołe, składają się bowiem z walki i cierpienia.

Dobrze, że Wydawnictwo Łódzkie podjęło inicjatywę wydania tych wspomnień. Tradycja literacka Łodzi jest węża, a wszystko, co wzbogaca kulturalne i in-

telektualne życie miasta, wzbogaca nas samych.

KAROL BADZIAK

Edward Kozikowski „Łódź i pióro”, Wyd. Łódzkie, 1972, cena 24 zł.



OBIEKTYW

Oczywiście Sopot. Nasz redakcyjny kolega Jerzy Wilmański opisał to dokładnie za tydzień. Dzięki telewizji mogliśmy wszyscy w jakimś sensie uczestniczyć w tym „wydarzeniu”. Oprócz cudzysłowu cisnie się również na usta słowo — niestety. Marne piosenkarny, przeciętni wykonawcy, borykający się z językiem polskim prezydenty. Do tego żalostnego widowiska idealnie dostroiła się publiczność. Nie, publiczka. Trudno byłoby spotkać drugie tak bezkrytyczne zbiorowisko. Rozumiem, że te kilka tysięcy ludzi, którym udało się dostać do Opery Leśnej w Sopocie to nie sami znawcy i konserwy, ale ta sztuczna, nadejta euforia wywołuje we mnie smutne refleksje. Inna sprawa, że wielu piosenkarzy wykorzystuje i nawet pobudza tę atmosferę. A my, Polacy, jesteśmy zbyt uprzejmi i gościnni, każdemu musimy zgrotować owoce. Aprobujemy bezkrytycznie wszystko, nawet wygłupy i białeśnięte gesty.

Publiczność publicznością, ale pretensje można i trzeba mieć do telewizyjnych szefów, że nam zaaplikowali całą dawkę tego piosenkarzkiego maratonu. Myślę, że z powodzeniem wystarczyłby koncert laureatów. Domyślam się dlaczego było jak było. Bo taka tradycja i takie gusta telewizyjów.

Również zła tradycja panuje i działają dziwne mechanizmy w typowaniu polskich piosenek na tę międzynarodową rawię. Jeśli można nie mieć zastrzeżeń do piosenek wykonanej przez Dąbrowskiego, to twór wykonany przez Sipińskiego i Figla, zapowiadany (o Boże!) jako polskie „love story” był najlepszym sposobem ośmieszenia naszych wykonawców i twórców piosenek.

Przed tygodniem skończył się jeden serial, zaczął drugi. Mam na myśli „Kobieta w białej” i „Wielki napad”. Nie można porównywać tych pozycji, ale w sumie dla telewizji wypadł remis. „Kobieta w białej” była nudną plą, jako tako strawną, jak na ogórkowy sezon. Po dwóch odcinkach „Wielkiego napadu” nie mamy wątpliwości, że to w swoim gatunku przykład znakomitej roboty. Okazuje się, zresztą Anglię wielokrotnie dali tego dowody, że film kryminalny może mieć bezbłędną dramaturgię, świetne aktorstwo, precyzyjnie dopracowany każdy szczegół. Okazuje się, że nie tylko trup padający gęsto, ale psychologiczna rozgrywka (jak w drugim odcinku pt. „Jedyny świadek”) może emocjonować widza. Zauważcie przy okazji Państwo jak ci Angliki pokazują poleję. W naszych rodzimych kryminałach i „kobrach” są to przeważnie pryncypialne ponuraki działające sprawnie i bezbłędnie, zgodnie z instrukcją. W filmie angielskim są to przeważnie nieporadne oferty z poczuciem humoru i dużą dozą autoironii, działają niekonwencjonalnie, ale mądrze. I wygrywając, zawsze zdobywają naszą sympatię.

Olimpiada w Monachium. Przez okres dwóch tygodni, średnio 8 godzin dziennie transmisji. Sprawozdawcy sportowi znowu dadzą nam szkołę. Nie chcą uprzedzać faktów i krytykować na zapas, ale ci ludzie od lat nie tylko mnie wyprowadzają z równowagi. Kubij, nie tyle atramentu, ile pomysłu, wylano na ich głowy. I co? Nie? Prawdziwa cnota krytyk się nie boi. Jednak szef sportu w TV zdystansował swoich kolegów po mikrofonie. Redaktor R. Dyja pisze tak w 34 numerze „Szpilek”: „dzisiaj prawie każdy zna się na sporcie. A najwięcej ludzi zna się na sprawie. Zdźwżności sportowej w TV. Spore ich grono zgromadziło się w redakcji „Szpilek”, skąd co tydzień płyną pod adresem moim i moich kolegów życzyliwie rady i przyjacielskie polajanki”. I kilka wierszy dalej po stwierdzeniu, że satyrycy tuczą się i budują domki jednorodzinne z pisania tych przyjacielskich polajank: „...kilkudziesięciu dziennikarzy i ekspertów, kilkunastu sprawozdawców, setki potknięć, tysiące przejęczyzeń, setki tysięcy wysp. Już dziś „Szpilek”, znane z zapobiegliwości, powinny pomyśleć o zwiększeniu wszystkiego: formatu, objętości i nakładu...”. Oczywiście, że „Szpilek” to miejsce, gdzie można sobie trochę pożartować, nawet z zawodowych żartowiszców. Pośmiałem się i ja, ale był to śmiech przez łzy. Bo smutno mi się zaraz zrobiło, jak mnie red. Dyja pozbawił wszelkich złudzeń i udowodnił dziecięcą naiwność, zgasił iskierkę nadziei, że kiedyś ktoś do伯ierze się do skóry tym partaczom i fuszerom, a jak udowodnił sam szef, również tupeciarzom.

JAROSŁAW TARNO

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

OBCYM WSTĘP WZBRONIONY

Filmy dzielą się — formalnie rzecz biorąc i upraszczając nieco — na fabularne i dokumentalne, na długometrażowe i krótkometrażowe. Film „Obcym wstęp wzbroniony” Krzysztofa Gradowskiego (reżyseria) i Zygmunta Samosiuka (zdjęcia) nie jest ani fabularnym ani dokumentalnym, ani pełno- ani krótkometrażowym. Opatrzono go me tryczką, po raz pierwszy chyba użytą: rekonstrukcja dokumentalna. Co to znaczy? Znaczy to, że opierając się na wydarzeniach autentycznych autorzy, dla ich odtworzenia, posłużyli się w mniejszym lub większym stopniu inscenizacją.

Film traktuje o młodzieży z tzw. marginesu społecznego, składa się z dwóch części stanowiących zamknięte

całości. Część pierwsza — „Droga powrotna” opowiada o losach chłopca, który wyszedł z więzienia i wraca do życia w społeczeństwie. Chronologiczna rejestracja każdego kroku chłopca, za którym zamknęła się brama więzienia. Gradowskiemu udało się znaleźć autentyczny przypadek, młodego człowieka, który pozwolił towarzyszyć kamerze filmowej w drodze powrotnej.

Ale jakież to może być autentyzm? Czy człowiek, który wie, że to co mówi i robi będzie pokazane później tysiącom ludzi, zachowa się tak samo jakby zachował się gdyby go nie obserwowano? To zupełnie ludzkie, że będzie podświadomie kontrolował każdy swój gest, każde słowo, że będzie reżyserował się sam, a więc na pewno nie dobrze. Dlatego zapewne film ten nie działa ani na rozsądek ani na uczucia widza. Jest nieprzekonywający, papie-

rowy, „autentyczne” dialogi banalne, jałowe. Na przykład scena spotkania syna z matką, pierwszego spotkania po wyjściu chłopca z więzienia. Ta scena powinna chyba posiadać mocny ładunek dramatyczny. Ingerencja autorów polegała tylko na zainstalowaniu sprzętu filmowego w mieszkaniu matki. Tylko? Czy pod okiem kamer, w obecności choćby tylko dwóch obcych ludzi, matka i syn rozmawiali — tak jakby rozmawiali, gdyby byli sami? Ta niby autentyczna scena wypadła fałszywie, była wymyślona, beznamiętna, stonowana w jakiś nienaturalny sposób.

Nieprzekonywająco wypadł również główny — jak się wydaje — problem filmu: resocjalizacja młodych ludzi, którzy opuścili więzienie. Miało być chyba o tym, że społeczeństwo w zbyt małym stopniu pomaga tym ludziom w powrocie do normalnego, uczciwego życia. Komentator mówi, że tym ludziom niechętnie daje się pracę. Ale my niewidzimy, by bohater filmu palił się do pracy. Jedyna

próba kończy się w poczebanalnej, jałowej. Na przykład ktoś również szukający mi mu, że pracy nie dostanie, bo ciąży na nim piętno więzienia. Komentator kończy film optymistycznie (?), że chłopak otrzymał wreszcie pracę zatając więzienie przeszłości. Musimy wierzyć komentatorowi na słowo.

Druga nowela — „Reguły gry”, oparta na pamiętniku prostytutki, która została zamordowana w czasie pijackiej lubicji, powstała na nieco innych zasadach. Tu inscenizacja jest pełna, bo uczestnicy wydarzeń nie chcieli występować w filmie. Autentyzm więc polega na poprowadzeniu akcji śladem pamiętnika oraz zaangażowaniu do filmu aktorów-amatorów. „Reguły gry” ukazują — dość stereotypową zresztą — drogę wiejskiej dziewczyny od marzeń o karierze artystyki do rzeczywistości, która nosi miano prostytutki. I ten film nie spełnia chyba zadania, bo w sposób spłycony, sprwadzony do fotograficznych efektów, ukazuje problem

znany nam w bardziej dramatycznych i wstrząsających wydaniach wprost z życia, ze sprawozdań sądowych, z relacji reporterskich.

I jeszcze jeden, dość poważny mankament filmu — dźwięk. Kiedy się kręci film z „naturaśczykami”, w dodatku wywodzącymi się ze środowisk operujących swego rodzaju żargonem, kiedy grają ludzie nie znający zasad dykcji właściwej zawodowym aktorom, trzeba specjalną uwagę zwracać na nagrania dźwięku. Tymczasem w obu częściach filmu, na skutek bełkotliwej dykcji oraz złej jakości dźwięku, znaczna część dialogów w ogóle nie dochodzi do uszu widzów. Na przykład początkowe sceny „Drogi powrotnej” w więzieniu są całkowicie niezrozumiałe, bo z dialogów rozumie się jedynie pojedyncze słowa.

Krzysztof Gradowski jest

JOANNA SERGONT

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Ziemia w Kartaginie kryje skarby archeologiczne?

„RATUJcie KARTAGINĘ!”

Dwadzieścia jeden wieków temu Katon Starszy apelował do Rzymian: „Należy zniszczyć Kartaginę!”

„Ratujcie Kartaginę!” — ten apel do całego świata kieruje dziś dyrektor generalny UNESCO, René Maheu. „Ratujcie Kartaginę!” — wola rząd Tunezji.

Kartagina — miasto na wybrzeżu Afryki Północnej nad Zatoką Tunezyjską, słynne niegdyś i potężne, przechodziło burzliwe losy. Założyła je legendarna królowa fenicka Dydona w roku 814 przed n. e. uzyskuje pozwolenie od miejscowego króla Jarbasa na założenie miasta. Król pozwala zająć taki obszar jak obejmie skóra wolu. Sprytna królowa tnie skórę na paski i tak je układa na ziemi, że uzyskuje teren pozwalający na zbudowanie wielkiego miasta. Wkrótce Kartagina, dogodnie położona nad Morzem Śródziemnym, rozwija się szybko dzięki handlowi i uprawie roli, rośnie w bogactwa i potęgę. Miasto zostaje obwarowane silnymi murami, nad zatoką

wznoszą się porty wojenne i handlowe, jeden z największych w czasach starożytnych. Ale wzrastająca potęga gospodarcza Kartaginy sprawia, że rozciąga ona swą ekspansję na wybrzeża Afryki Północnej i Hiszpanii, podbija Baleary, część Sycylii, Sardynię i Korsykę. O panowanie nad Sycylią Kartagina toczy nieustanne walki z Syrakuzami. Konkuruje z samym imperium rzymskim. Rywalizacja o hegemonię nad Morzem Śródziemnym doprowadza do zwycięskich walk między Kartaginą, a potężnym wówczas Rzymem.

Mąż stanu, mówca i pisarz rzymski Marcus Porcius Cato Maior zwany Katonem Starszym, każde swe przemówienie, niezależnie od tematu, kończy zawsze słowami: „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse!”. „Poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć!” Wybuchają wojny puniczne. W drugiej wojnie punicznej niewiele brakowało by Rzym padł. Hannibal ze swą armią, ze swymi jeźdźcami na bojowych słoniu, znalazł się u wrót Rzymu. W wyniku trzeciej wojny punicznej w roku 146 przed n. e. Kartagi-

na zostaje zdobyta. Rzymianie zadają jej śmiertelny cios. Miasto burzą i palą. Ziemię, na której wznosiły się wspaniałe budowle, Rzymianie zaorali, obrzucili kłatwą, posypali solą, a Kartagińczyków sprzedali w niewolę. Terytorium Kartaginy zostaje wcielone w skład państwa Rzymskiego jako „provincia Afryka”. Za Augusta jednak sami Rzymianie wznoszą nową Kartaginę. Staje się ona wkrótce ożywionym centrum handlowym i kulturalnym. W roku 439 n. e. zostaje zdobyte przez Wandalów, ale już w roku 533 odbija je Belizariusz wódz cesarza Justyniana. Miasto upada pod koniec wieku siódmego naszej ery podczas podbojów arabskich.

Kartagina jest terenem, gdzie jak dotąd nikt nie prowadził systematycznych badań archeologicznych. A równocześnie jest to teren jeden z najbardziej negujących dla archeologów. Trzeba się spieszyć. Tunis, stolica Tunezji, położony opodal starożytnej Kartaginy rozwija się żywiołowo. Miasto, liczące dziś blisko milion mieszkańców w ciągu najbliższych lat piętnastu, jak się przewiduje, będzie liczył ich dwa razy tyle. Hotele, wille, autostrady pokryją miejsca gdzie dziś jeszcze archeologowie mogą dokonywać prac badawczych.

Pozornie niewiele pamiętek pozostało po starożytnej Kartaginie, ale z pewnością ziemia kryje w sobie niejednen skarby archeologiczne. Wielki cyrk z czasów rzymskich znajduje się zaledwie kilka metrów pod ziemią, starożytne cmentarzyska też czekają na badaczy. Toteż w porozumieniu z rządem Tunezji UNESCO postanowiło ratować to co się jeszcze da ze starożytnej Kartaginy. Na badania zaplanowano

sumę stu mln franków, które Tunezja i UNESCO zaplacią po połowie. Żeby zachęcić archeologów całego świata, rząd tunezyjski obiecuje, że część znalezisk będzie mogła być zabrana przez ekipy archeologiczne lub wypożyczona na czas dłuższy. W dalszych planach projektuje się restaurację ruin i uzgodnienie planów nowoczesnej urbanizacji z wymogami muzealnymi. Przewiduje się też na terenie dawnej Kartaginy założenie wielkiego parku-muzeum. Za jakieś piętnaście lat turyści będą mogli nie tylko wypoczywać, ale i zdobywać wiedzę o starożytnej Kartaginie i, jak to sugeruje paryski tygodnik „L'Express”, „pomarzyć sobie co by było, gdyby słoniu Hannibala zwyciężyły imperium rzymskie”. Dodajmy nawiasem, że nikt z nas nie ujrzy słonia jakiego Hannibal używał dla swych jeźdźców. Dawno już ten gatunek wytopili ludzie.

Na razie przy pracach archeologicznych m. in. bardzo intensywnie pracują Polacy. Ekipa polskich archeologów, wyposażonych w najnowszy sprzęt przebadala 256 tysięcy metrów kwadratowych terenu ustalając obszar wielkiego cyrku z czasów rzymskich i już dokładnie wyznaczyła jego położenie.

FILM Z ROKU 1904 O TOLSTOJU

Film, o długości taśmy 3 tysiące metrów, będący dokumentem z życia i twórczości Lwa Tolstoja, nakręcił w roku 1904 francuska firma Pathé. Taśma została teraz, w ramach współpracy kulturalnej radziecko - francuskiej, przekazana do Francji, gdzie w tej samej firmie Pathé, niezwykły ten dokument zostanie odrestaurowany.

LUCAS CRANACH

Urodził się w Kronach w roku 1472, a więc w roku bieżącym mija pięćsetletnia rocznica jego urodzin. Cranach, jako malarz, dość słabo reagował na modne wówczas wpływy włoskie pozostając w swej twórczości, nierównej i wielostronnej, malarzem

gotyckim i prowincjonalnym. Była to ciekawa osobowość. Dopiero mając lat trzydzieści, daje się poznać jako artysta. O jego latach szkolnych nie wiemy nic. Na samym początku XVI-go wieku przebywa w Wiedniu w kręgu malarzy tzw. szkoły naddunajskiej. W roku 1505 zostaje powołany przez Fryderyka Mądrego, elektora saskiego do Wittenberga, gdzie znalazł się w samym centrum reformacji, której staje się oficjalnym malarzem. W Wittenberdze prowadzi wraz ze swymi dwoma synami pracownię malarską przyjmując liczne zamówienia głównie na portrety. Przyjacielem wielu książąt, słynnych uczonych i artystów, Cranach równocześnie ze swą pracą artystyczną zarządza drukarnią i księgarnią, a poza tym prowadzi aptekę, w której prócz lekarstw sprzedaje towary kolonialne, korzenie i wina południowe.

W roku 1508 Cranach odwiedza Niderlandy i portretuje osiemnastoletniego podówczas księcia, a późniejszego cesarza Karola V. W roku 1524 Cranach jest w Norymberdze, gdzie Dürer maluje jego portret. W roku 1550 spotyka w Augsburgu Tyjcjana i portretuje go. W roku 1552 osiemdziesięcioletni Cranach zajmuje w Weimarze jeszcze stanowisko nadwornego malarza. W tymże roku umiera.

Znany głównie jako malarz scen religijnych Cranach jest równocześnie portrecistą aktów kobiecych. Po okresie wiedeńskim, w Wittenberdze przez pewien czas oddziałują na niego wpływy malarstwa weneckiego i mediolańskiego przejawiające się w kompozycji i modelowaniu ciała. Z biegiem czasu jednak artysta kształtuje swą własną drogę twórczą. Kobiety na jego obrazach, smukłe, o niespokojnych liniach ciała, wątle i jakby chorowite, o wąskich ramionach i niezbyt mądrych twarzach mają jakiś swoisty wdzięk.

Obok licznych płócien do naszych czasów przetrwało około 100

drzeworytów Cranacha, które świadczą o dużej różnorodności twórczej. Wśród nich znajdują się sceny o treści religijnej, nie pozbawione lekkości czy nawet humoru, w których wspaniale oddany krajobraz ma w sobie cechy romantycznej zadumy. Inne drzeworyty, zapewne tworzone na zamówienie wysoko postawionych osobistości, ukazują naturalistycznie potraktowane sceny z polowań lub turniejów albo uroczyste sceny, w których książę ze swą

dumą serca przemierza ją konno górskie okolicę. Kiedy indziej znów, jak np. w scenie z życia św. Antoniego demony splotające powietrzem na samotnika, przypominają niesamowite stwory z obrazów Boscha.

Przez trzy wieki sąd o Cranachu był dość uproszczony, choć nieraz wyidealizowany. Dopiero odkrycie jego wcześniejszej twórczości potraktowane sceny z polowań lub turniejów albo uroczyste sceny, w których książę ze swą



Jeden z drzeworytów Lucasa Cranacha



Lucas Cranach — „Żołnierz i dziewczyna”, drzeworyt 1509



ANECDOTA Z KOMENTARZEM

LITERACI POLSCY — PISARZ W STATYSTYCE — STUDIUM PIONIERSKIE — PRZESZLA BEZ ECHA — TABELA NUMER 48 — STAN POSIADANIA — LEKTURY TEŻ PRAÇA — OPINIE I OCENY

Syn pewnego — nie żyjącego już zresztą — wybitnego pisarza powiedział kiedyś: „Gdy byłem dzieckiem, chciałem zostać literatem — zazdrościłem bowiem Ojcu, że rano śpi, kiedy ja muszę iść do szkoły”. Drugą dziecięcą wypowiedź na podobny temat przytacza Antoni Słonimski. Otóż synek gospodarzy, u których pisarz mieszkał, powiedział: „Pan Słonimski nie pracuje — on albo czyta, albo pisze...”

Zacytowałem te dwie wypowiedzi, bowiem są one także charakterystyczne dla świata dorosłych. Ludzie, którzy wyrosli z krótkich majtek, jakże często w ten sam sposób patrzą na zawód pisarza. Mity te rozwiewa interesujące studium Andrzeja Sicińskiego „Literaci polscy”, wydane w „Osso-lineum” przez Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Jest to właściwie skrypt naukowy, wyda-

ny w nakładzie 1350 egz. i żeby go w 750-tysięcznej Łodzi dostać, musiałem prosić o pomoc Jana Gierańczyka z „Pegaza”, który mi specjalnie studium Sicińskiego sprowadził z Warszawy.

Przeczytałem to blisko 200-stronicowe studium, poparte 70 tablicami statystycznymi i zawierało mi w głowie. Oczywiście zreferować tej pracy nie sposób, polecać do czytania — nie sposób, choćby ze względu na nakład. Ale dziwi mnie, że tak jakoś przeszła bez echa, choć przecież — sam Siciński to udowodnia — tak wielu pisarzy pracuje w redakcjach. A jest to przecież studium w powojennej socjologii pionierskie. Tym cenniejsze, że wciąż operujące analogią do sytuacji pisarza w latach międzywojennych — dokumentujące obraz przemian i to bez upiększeń i woalek.

Choćby takie stwierdzenie. W latach międzywojennych literaci mieli lepsze warunki mieszkaniowe, ale za to... o wiele uboższe

księgozbiory. Niby drobni, niby, ot taka ciekawostka. A przecież, ile mówi o strukturze zmian w ogóle, w całym kraju, w społeczeństwie. Jakże wymownie rysuje ta diagnoza socjologa dwa społeczne fakty: ekonomiczne trudności kraju oraz gwałtowny rozwój powszechnienia książki.

Wiem, że może naiwnie i prostacko brzmiały te felietonowe skróty z naukowego studium. To, co Andrzej Siciński udowodnia szeregiem tabel statystycznych, ja zamykam w jednym zdaniu, operując średnią. Ale trudno inaczej, jeśli się chce zaprezentować choćby jedną tyścinę spraw zanalizowanych przez autora „Literatów polskich”.

Jest w tej książce wiele krępujących ocen i danych. Ale są i zasmucające. Oto tabela nr 48 — „Zarobki literatów w zależności od wieku”. Rozbija ona pewien mit, tkwiący także w samym środowisku, a mówiący o kłopotach młodych, a synekurach starszych pisarzy. Oto okazuje się, że z upływem lat sytu-

acja materialna pisarza pograsza się, aby w wieku lat 60-ciu (i ponad) zejść do granicy 3 tys. złotych miesięcznie.

„Stan posiadania — pisze Siciński — wykazuje pewną współzależność z wiekiem członków ZLP (...) Okazuje się, że im starsi literaci, tym mniejszy wśród nich odsetek osób, posiadających wszystkie wymienione przedmioty trwałego użytku (chodziło tam o samochody, telewizory, telefony, maszyny do pisania itp. — przyp. J. W.). Wydaje się, że zarówno te, jak i niektóre inne wyniki ankiety powinny zwrócić uwagę na sytuację materialną starszych pokoleń literatów”. I konkluduje autor — „Wynik badania, sygnalizując sytuację materialną pisarzy, zaprzecza pewnym opiniom o uprzywilejowanej sytuacji tego zawodu”.

Na koniec chciałem znaleźć odpowiedź na pytanie o prawdę dwu przytoczonych na wstępie anegdotek. I znalazłem. Prawie trzy czwar-

te pisarzy ma i wykonuje inne zawody. Więc nie wysypiają się zbytnio przed południem. A lektury pisarzy, jak nie trudno zgadnąć, zaliczył Siciński do pracy.

W obu anegdotach zawarte były jakieś elementy opinii na temat pozycji pisarza. Jak sami pisarze oceniają owe opinie? Na pytanie, czy znajdują uznanie dla swej pracy — ponad połowa odpowiedziała „tak”. Na pytanie, czy korzystają z przywilejów elity kulturalnej — prawie trzy czwarte odpowiedziało „nie”, bądź postawiło w ankiecie kreskę.

Tak więc skomentowaliśmy sobie naukowo dwie blade anegdotki, ale właściwie nie zaprezentowałem czytelnikowi tego wnikliwego studium socjologa. Z jednej strony trochę szkoda — z drugiej zaś byłoby nietaktem upraszczanie naukowych analiz. Studium Andrzeja Sicińskiego jest bowiem dokumentem na lata — w przeciwieństwie do ulotnej materii felietonu.

JERZY WILMAŃSKI

